

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. : : :
 Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.,
 ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przysyłać na ręce
 Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupeczyca). — W agencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza 1-lamowego petytem 30 hal.
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
 Hupeczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



01524305K

Biuro Dzienników MARYANA HUPECZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
 do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
 Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk.
 bardzo dobrze idący na min.
 wyregulowany. Na żądanie
 wysyłam darmo i oplatnie
 katalog ilustr. zegarów, zegarków,
 wyrobów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów,
 narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych 36

F. Pamm. Kraków. Zielona 103

Rok 1909.

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowskińska c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numerata okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i oplatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)

Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko, miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO

Nasładownictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z zakonnica, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim chorobom piersi i płuc, leczy kaszel, flegmę, chrypkę, zapalenie gardła, kurchę żołądka i wszelkie bole żołądkowe, zapalenie wszystkich organów wewnętrznych, brak opetytu, złe trawienie, zatwardzenie; zewnętrznie leczy wszelkie choroby ust, ból zębów i oparzeliny, darcie w kościach, wyrzuty, przedewszystkiem influenze, 12 małych, lub 6 dużych podwójnych, albo jedna wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza THIERRY'EGO

jedynie prawdziwa, zadziwiający, niechybny i niezrównany środek przeciw zastarzałym nawet ranom wrzodom, zranieniom, zapaleniu, chorobom nóg, ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym operacyom. Dwie puszk. K. 3,60.

Allein echter Balsam aus der Schutzengel-Apothek des A. Thierry in Pregrada bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 33

10 POWIEŚCI

wielce zajmujących (n. p. De-wajtis, Na Wulkanie, Prze-kłęta, Narzeczona proku-ratora, Wyspa obłąkanych, Dziewiątka czerwienina, Za chlebem, Lelum Polelum itd.) za nadesłaniem

3 kor. 50 hal.

wysyła „Głos Wielkopolek“ w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 11.

TYGODNIK

ILUSTROWANY NARODOWY

Głos zdrajcy.

Na stosunki polityczne, panujące w obecnych czasach rzucił wobec całej Polski dużo światła znakomity nasz powieściopisarz Józef Weyssenhoff w swej „Unii”. Narodową obojętność wielkiej części szlachty polskiej, rozsianej dość gęsto po cudnych i żyznych łąkach litewskich, opisywanych z taką miłością przez autora „Pana Tadeusza”, przedstawia Weyssenhoff mistrzowskim swym piórem w świetle wcale niedwuznacznym. Nietylko obojętność narodową, lecz i wprost niechęć do do tych, których serca dla sprawy narodowej gorętszym pałają ogniem. Materyalizm takiego pana Chmary, głowy „realistów” polskich na Litwie, u którego odbywają się sejmiki szlachty — razem z czynownikiem rosyjskim, dochodzi do tego stopnia, że boi się niemal wymówić wyrazu „Polska”.

Że typ pana Chmary nie jest niestety wyjątkowym, że nie zachodzi on jedynie w powieści, na to mamy obecnie dowody. Takich Chmarów, cieszących się ogólnym na Litwie poważaniem, jest tam sporo w rzeczywistości. Dowodem głos publiczny hrabiego Józefa Korwin Milewskiego, który głośnym echem rozległ się niedawno po całej Polsce.

Głos ten ma być zarazem programem nowej partii ugodowej na Litwie, partii, pragnącej zupełnego zlania się z Rosją. Hrabia Korwin Milewski pisze bowiem, że szlachta cała powinna stać bezwzględnie przy osobie tego monarchy, którego losy historyczne i wola Boża jej nadały. Dalej dowodzi, że carowie rosyjscy oddawna umiłowali szlachtę polską, lecz szlachta ta stała się miłości niegodną. Źródło złego leży naturalnie w Warszawie, w Królestwie Polskiem, gdyż tam nie chce szlachta uznać wielkoduszności polityki carskiej wobec Polaków. Dla tego należy się szlachcie polskiej na Litwie — zdaniem hr. Mi-

lewskiego — wystrzegać wszelkiej łączności z Królestwem, z tamtejszymi Polakami, bo to szkodzi tylko Litwie. „Trzeba — pisze hr. Milewski dosłownie — się ocknąć, trzeba porzucić na zawsze mrzonki niemożliwe, trzeba przede wszystkim powiedzieć tym panom z Warszawy, co nas, Litwinów, pchają do zguby dla swoich pseudo-interesów nadwiślańskich — stanowczo: dość tego”.

W programie swym wypowiada dalej p. Milewski, jak szlachcie polskiej na Litwie należy postępować. Oto przede wszystkim należy się wyrzec stanowczo wszelkiej solidarności z przedstawicielami Królestwa Polskiego. „Nam, ziemianom tutejszym, polskiej kultury — pisze autor dalej, omijając już nawet nazwę „Polak” — trzeba przy zachowaniu bezwarunkowej lojalności względem osoby Imperatora Wszechrosyjskiego, zachować jak najstaranniej naszą wiekową kulturę, nasz język rodowity, naszą religię, lecz tylko w ścisłym kółku swoich, nie dla żadnej propagandy lub opozycji względem rosyjskiego państwa, którego jesteśmy i na zawsze pozostaniemy obywatelami, lecz tak, jak się zachowuje relikwie po ukochanej matce już dawno w grobie złożonej, a więc bez pretensyi narzucania dalszym pokoleniom przekonań, mód i zwyczajów na zawsze minionej przeszłości.

I dalej prawi p. hrabia Korwin Milewski o „bezwarunkowej wierności dla swego monarchy” — lecz już powyżej przytoczone ustępy wystarczą, by sobie czytelnicy sami utworzyć mogli sąd o ludziach, którzy mają taki program polityczny. Toż to najpodlejsza zdrada, gorsza od Targowicy!

I u nas mieliśmy czasy ugodowe, mieliśmy czasy, w których rozmaite jednostki zapomniały o swej godności narodowej, lecz takiej podłej, nikczemnej zdrady na naszym gruncie nie było. Lecz to, co widzieliśmy w ostatnich czasach — u nas —, to mogłoby się z czasem przerodzić na podobną podłość, jakiej nie wstydzą się popełnić

hrabia Milewski. Od zatracenia godności narodowej do podłości i zdrady zaledwie krok jeden.

Dla tego potępić należy jak najenergiczniej tę zdradę, choć jej dokonano na Litwie a nie u nas, by pokazać, że naród na podobne rzeczy się nie godzi. Gdyby objawów podobnych, gdziekolwiek one się ukażą na obszarze dawnej Polski, nie potępił cały naród, wówczas gotowe one znaleźć naśladowników.

A zatem baczność! — Strzedz się wszędzie ludzi, którzy zapominają o godności narodowej.

Ze sejmu.

Zapowiedzianych na ub. sobotę obrad Sejmu oczekiwano powszechnie w wielkim niepokoju. Po obradach bowiem środowych zanościło się na to, że posłowie „ukraińską“ kontynuować będą obstrukcję z podwojoną „energiją“. Krążyły różne po mieście pogłoski, że ukraińcy specjalne przygotowują na sobotę „instrumenty obstrukcyjne“, że dojdzie do ekscesów, jakich Izba sejmowa w czasie swego 50-lecia nie widziała itp. Zdawało się dalej, że i różnice zapatrywań na formę wyborczą wśród stronnictw polskich ulegną znacznemu pogłębieniu. Słowem, uważano dzień ten za chwilę przełomową w historii naszego Sejmu.

Tymczasem dzięki pełnym taktu zabiegom prezesa Koła Polskiego dr. Głabińskiego, doszło już w piątek do pewnego kontrętnego porozumienia tak między Polakami i Rusinami, oraz między prezydiami klubów polskich. A dzień sobotni był tylko stwierdzeniem jawnem tego, co w piątek załatwiono poufnie. Coprawda odezwały się dziś „protesty ruskie i w przemówieniach posłów ukraińskich brzmiało jeszcze jakby echo pogroźek środowych. — ale to tylko „echo grało“. W gruncie rzeczy bowiem przesilenie, zdaje się, zażegnano, a sprawa ustalenia zasad reformy wyborczej — jak sądzą powszechnie w kołach poselskich — jest kwestyą najbliższych dni.

Sobotnie obrady Izby sejmowej zagał Marszałek oświadczeniem, że na jego ręce wpłynął *protest posłów ukraińskich*, występujący przeciw uchwałom Izby w czasie, gdy na ławach ukraińskich panował wrzask i hałas, wskutek którego nikt nie mógł być słyszeć przemówień sprawozdawczych, oraz jakie wnioski i kiedy poddawane były pod głosowanie. Było to więc załatwianie spraw ważnych sposobem mimicznym, przeciw któremu Ukraińcy protestują. Podobny protest zgłosili także: poseł Karol im. starorusinów i poseł Dudykiewicz im. moskalofilów.

Następnie poseł ukraiński Lewicki złożył oświadczenie, że sobotni porządek dzienny czyni zadość żądaniu Rusinów, aby Sejm przystąpił do obrad nad sprawozdaniem komisji reformy wyborczej. Sprawozdanie to umieszczono coprawda jako punkt czwarty porządku, lecz poprzedzają je trzy sprawy, co do których nie może być rozprawy. Aby więc jak najrychlej umożliwić załatwienie tej historycznie ważnej sprawy, posłowie ruscy czynią wyjątek dla tych pierwszych trzech punktów porządku obrad i nie będą przeszkadzali ich załatwieniu.

Ostatecznie po załatwieniu pierwszych tych trzech spraw, zabrał głos poseł Głabiński, by złożyć sprawozdanie z czynności komisji reformy wyborczej. W wyczerpującym swym sprawozdaniu, mówca przedstawił historię reformy wyborczej sejmowej od roku 1898 po dzień dzisiejszy. Rezultatem prac i obrad komisji zostało przeświadczenie, że reforma jest rzeczywiście potrzebną, że jest dziś sprawą najważniejszą i bardzo pilną. Byłoby to pierwszym dodatnim rezultatem. Drugim rezultatem było przekonanie się wszystkich stronnictw o konieczności kompromisu, co umożliwiło zbliżenie tak stronnictw polskich, jak niemniej pewne porozumienie się polsko-ruskie. Jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, by wszystkie stronnictwa i oba narody zechciały współdziałać w dopuszczeniu reformy wyborczej jeszcze w bieżącej sesji.

Nakoniec mówca zaznaczył, że niesprawiedliwym byłby sąd, iż jakieś stronnictwo nie chce reformy. Istnieją tylko pewne różnice co do zasad i szczegółów, ale i tu znajdujemy się na najlepszej drodze do porozumienia. Idzie o to, aby zatrzymanie dzisiejszego systemu kuryalnego połączone było z takimi demokratycznymi zmianami, iżby demokratyczne warstwy tem się zadowolili. Mówca przedłożył następnie rezolucję komisji, że Sejm przyjmuje sprawozdanie do wiadomości, oraz że poleca usilnie, aby gotowy projekt reformy, komisya przedłożyła jeszcze w bieżącej sesji. Rezolucję tę uchwalono jednomyślnie.

Nad sprawozdaniem tym wyłoniła się dyskusya, na ogół rzeczowa i spokojna, w której zabierali głos mówcy wszystkich grup sejmowych. Poczem Marszałek odroczył posiedzenie do wtorku.

Obecnie więc w pałacej sprawie reformy wyborczej sejmowej nastąpił zwrot pomyślny; sprawa cała weszła obecnie, jak się zdaje, na drogę pozytywnych działań.



Słońce się podnosi i cmentarz zwykle zapomniany i opuszczony zaludnia się temi białymi postaciami, jak tłumem widm.

Błądzą długo, odszukując swe mogiły. Trudna to rzecz. Nagrobków tam niema, napisów nie znajdziesz, a one zresztą czytać nie umieją. Gdy człowieka tu zakopią — trochę piasku ino nagarną i zatkną malutki krzyżyk. Ale po kilku dniach wiatr kopczyk zdmuchnie, a po kilku miesiącach krzyżyk upadnie, ramiona straci, i mogiła niczem się od innych nie różni. Błądzą tedy kobiety i odszukują sobie tylko wiadomych znaków. Jedna na grobie córki powiesiła na krzyżu kilka paciorków, druga na grobie matki obwiązała krzyżyk czerwoną nicią, inna na mężowskiej mogile zawiesiła fartuszek z wyszytymi na rogach krzyżami.

Pastuszki i włóczęgi często zabierają te pamiątki, wtedy kobiety zbierają się po kilka, przypominają, gdzie kogo chowano, przy kim leży i wreszcie każda odnajduje swoich.

Wtedy restauruje mogiłę, rękami zgarnia znowu piasek na kopczyk, zbiera ułamki krzyża, prostuje go, i ramiona zakłada, zawiesza nowy fartuszek. Krzątają się tak wszystkie, a pastuszki pędzacy po pod cmentarzem bydlęto spoglądają ciekawie.

— Bacz jak baby stroją mogiły. Zaraz zaczną zawodzić.

Bo to dopiero wstęp do właściwej ceremonii. Teraz kobiety zaścielają obruskami kopczyki mogilne i składają do nich kołacz i jaja, ser i kielbasę i flaszkę wódki.

Wtedy siadają naprzeciw, w kuczki, podpierają brodę pięściami i zaczynają z nieboszczykami rozmowę.

— Oj doniu moja, dońko! Zawodzi matka. Nie chcesz ty mi prząć ani tkać. Samą mnie zostawiłaś na robotę. Nie masz ciebie, nie masz, Oj dolaż moja dola, doleńka!

Głos się coraz podnosi, nabiera dźwięku wiatru jęczącego, wycia prawie, i łączy się w jeden chór z setką innych, co oplakują mężów i ojców, braci i matki, synów i wnuków.

Trwa to długo, cichnie, to znowu rośnie, ogarnia cały cmentarz, aż wreszcie któraś się podnosi — nalewa czarkę wódki, żegna się i woła:

— Piję ja do ciebie doniu serdeczna, żebyś wiedziała, że ci nic nie żałuję, i światło Boże niech ci świeci.

I wylewa czarkę na piasek.

I zaczyna się biesiada.

Łamają kołacz na kęsy i pytają się zmarłego, czy pamięta zagonki, które opuścił i opowiadają

mu o bujnych runiach i znoju żniwa, którego z nimi nie podzielili. Kruszą ser i wspominają bydłeta, które chował, prawią mu dzieje krowy rodzicielki i byków pracowitych, których nie zobaczy wskroś ziemi, co mu oczy zakryła.

Całą historię ludzi chatnich i dobytku opowiadają mu, spożywając tę ucztę, i na piasek mogiły kładąc wszelkiego posiłku część, dla tego ducha współbiesiadnika.

Potem pod wpływem libacyi rozczulają się zbierają się w gromadki, gwar rozmów staje się żywszy, wspominają różne dziwy, strachy; a wreszcie smutek i zawodzenie przechodzi w jakąś dziką uciechę z wiosny, z życia, wśród mogił roją o swatach, o weselach, — rozpoczynają się śpiewy i śmiechy.

Zbierają się do odwrotu, sprzątajac resztki jadła i ciągną ku wsi gwarnym tłumem niczem nie przypominającym żałobnego obrządku.

Wieczorem wracające pastuszki odwiedzają cmentarz. Bieleje cały od nowych fartuszków ofiarnych — na krzyżykach błyszczą paciorki i „życzki czerwienieją”. Chłopaki rabują potrosze, a potrosze szperają po ziemi, szukają kołacza lub sera.

Po ich przejściu mogiły znowu zostają opustoszałe, i nikt już nieboszczyków nie odwiedza aż do następnej „Nawskiej Wielkanocy”.

Marya Rodziewicz.

Materyalna wartość oświaty.

Oświata ludu — dokona cudu. Maksymę tę powtarzają młodzi i starzy, zdobi ona nagłówek wielu pism ludowych, w tysiącach artykułów użyto ją jako motto i niema bodaj jednego wieca oświatowego, na którymby ją nie akcentowano i nie parafrazowano na wszelkie sposoby. Słowem jest ona na ustach wszystkich i zdawać by się mogło, że wnikła w krew i kości społeczeństwa jako dogmat niewzruszony.

Niestety jest to smutnym losem aforyzmów, że przez częste powtarzanie stają się zdawkowym frazesem, utartym komunałem i tracą jako takie werbującą siłę.

Obawiać się należy, że przydarzyło się to słusznemu i trafnemu orzeczeniu o oświacie.

Albowiem nie na tem polega doniosłość jakiegoś dogmatu, że go ludzie mniej lub więcej bezmyślnie powtarzają, lecz na tem, że weni wierzą,

tj., że działanie swoje do wskazań danego dogmatu dostosowują.

Pod tym względem jednak u nas dużo jeszcze pozostaje do życzenia.

Wyuczyliśmy się na pamięć rozlicznych naszych haseł, które zawsze mamy „na porędku”, gdy chodzi o palnięcie mówki wiecowej lub napisanie korespondencyjki do gazety, lecz w uczynkach naszych tych haseł gorących nie widać. Wiemy, że „zgoda buduje, a niezgoda rujnuje”, a przecież się kłócimy; wołamy „swój do swego”, a pieniądze zanosimy do obcych; twierdzimy, że będziemy „jednością silni”, a przedstawiamy obraz głębokiego partyjnego rozdarcia; wołamy „oświata ludu dokona cudu”, a na książki i pisma żałujemy pieniędzy, ze składką na cele oświatowe się nie kwapimy, a nawet z bibliotek bezpłatnych korzystać należycie nie chcemy.

Przykłady takie dałyby się pomnożyć. Lecz nie będziemy nużyć czytelników naszych.

Mówiąc o oświacie, często nie zdajemy sobie sprawy jasno, jakiego to rodzaju cudów ona dokonuje. Wielu upatruje w niej czysto abstrakcyjne, idealne dobro stosowne dla bogatych, lecz dla ubogich mało przydatne. Wielu zapomina, że oświata bardzo doniosłe — praktyczne, materialne ma znaczenie i to nawet i ten rodzaj oświaty, który na pozór z wymogami praktycznego codziennego życia nic nie ma wspólnego. Cóż mi potem — powie niejeden — że przeczytam „Pana Tadeusza”, nie sprzątnę przez to więcej żyta ani mi się

świnie lepiej utuczą! Być może. Jeżeli jednak często będzie czytał dobre dzieła literackie i zasmakuje w nich, natenczas wzbogaci umysł i serce, stanie się lepszym i światlejszym, dokładniej zrozumie swój cel i swoje w świecie zadanie i ani się spostrzeże, jak te idealne dobra, które w sobie nagromadzi, dobroczynnie poczną wpływać na praktyczne wykonanie zawodu. Twierdzimy śmiało, że człowiek odcytany — chociażby wyłącznie tylko w pięknej literaturze — produktywniej będzie pracował w swoim zawodzie aniżeli taki, który od wszelkich książek stroni, a coś



Nad grobem.

dopiero, jeżeli sobie przyswoi rzetelną, praktyczną, fachową wiedzę, nagromadzoną w popularnych podręcznikach naukowych i czasopismach do potrzeb ludu zastosowanych.

Patrzymy w ostatnich dziesiątkach lat na niebywały rozwój gospodarczy społeczeństwa naszego. Rozwój ten dokonuje się na wszystkich polach. Spowodował zubożenie się ludności i podniósł wymagania życiowe niesłychanie. Stan ten sprzyja materialistycznemu zapatrywaniu się na sprawy gospodarcze, które zwraca bodaj

więcej uwagi na produkt, na towar, a więc na przedmiot zabiegliwości ludzkiej, niż na produkujący podmiot, czyli człowieka. Materyalizm ten uważa oświatę ludu za rzecz nieproduktywną, a przecież jasną jest rzeczą, że najgłówniejszą przyczyną obecnego rozwoju ekonomicznego jest przedewszystkiem rozrost oświaty ludowej. Nie tylko dla tego, że oświecony robotnik lepiej wydatniej pracuje, lecz nadto, ponieważ łatwość kształcenia się powoduje ustawiczne zasilanie warstw wyższych przez dopływ dzielnych jednostek z ludu. Tym sposobem wytwarza się coraz to silniejszy stan średni, będący najważniejszym czynnikiem pomyślności powszechnej.

Jednakże produkcja tylko wtedy ma istotną wartość, jeżeli jest na nią popyt. Stolarz, chociażby wyprodukował najbardziej artystyczne meble, będzie nędzarzem, jeżeli tych mebli nikt nie kupi. Należy tedy wytwarzać popyt na produkowany towar. Pewnikiem niezbitym jest, że z wzrostem oświaty wzmagają się wymagania życiowe człowieka. Rozbudzone zaś wymagania stara się człowiek zaspokoić. I tutaj znów oświata przychodzi człowiekowi z pomocą uzdolniając go do wydatniejszej pracy i dostarczając tem samem środków do zaspokojenia wzmożonych wymagań życiowych.

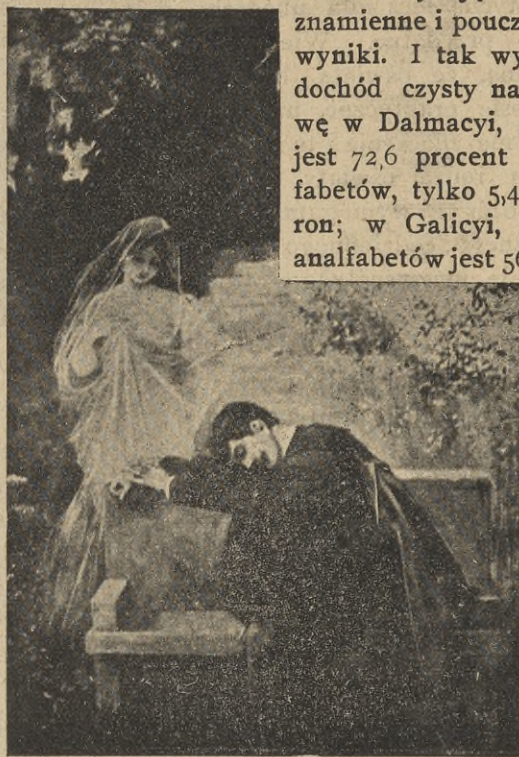
Tak więc wpływa oświata dodatnio na wzrost produkcji i konsumpcji i przyczynia się tem samem do wzmożenia się bogactwa narodowego.

Był kiedyś czas, że ekonomia polityczna hołdowała nauce Malthusa, który lękając się przeludnienia w ograniczaniu urodzin upatrywał rękojmię przyszłego rozkwitu ludności. Tę doktrynę niemoralną i błędną zarzucono i powrócono do starej tezy Woltera, który naucza, że bogactwo państw opiera się na liczbie mieszkańców i ich pracy. To samo odnosi się do narodów. Im licznie liczniejszy i pracowitszy dany naród — tem bogatszy, a co zatem idzie: potężniejszy, Sama liczebność narodu nie starczy. Naród licznie wielki, a pracą mały musi zginąć. Główna rzecz, żeby naród potrafił dobrze i wydatnie pracować, a jak widzieliśmy, niemożliwe to bez oświaty. Lecz i na liczebność narodów wpływa stan oświaty. Jakkolwiek stwierdzono, że wysoka kultura wpływa ujemnie na płodność narodów tak z drugiej strony pewna, że pod wpływem kultury przedłuża się przeciętnie trwanie życia ludzkiego i zmniejsza śmiertelność. Zatem: podczas gdy w nieoświeconych społeczeństwach rodzi się dużo dzieci i dużo umiera, a dorośli krótko żyją, w krajach, gdzie oświata wysoko stoi, dzieje

się przeciwnie. Ostateczny wynik porównania wypada na korzyść ludów oświeconych także w tej dziedzinie. Jak zaś prędko i dotitnie wydatnia się wpływ oświaty na zmniejszenie śmiertelności, na to przykładu dostarcza statystyka niemiecka, z której wynika, że pomiędzy r. 1890 a 1900 umarło akurat tyle ludzi, co pomiędzy r. 1870 a 1880, a zapomnieć nie trzeba, że w tym czasie pomnożyła się ludność niemiecka o kilkanaście milionów głów. Rezultat zmniejszonego analfabetyzmu w tym czasie wprost wspaniały.

Oczywiście, że trudno, a raczej niemożliwym byłoby w cyfrach ścisłych wykazać dobroczynny wpływ bibliotek, czasopism, teatrów, muzeów, towarzystw oświatowych i innych urządzeń oświatowych. Spostrzeżemy go jednak natychmiast, jeżeli porównamy kraje, w których grasuje analfabetyzm, z krajami dbającymi o oświatę. Pod tym względem cennych wskazówek dostarcza statystyka austriacka. Statystyka ta oblicza nasamprzód czysty dochód, jaki cały produktywny obszar poszczególnych krajów przynosi, następnie dzieli sumę przypadającą na każdy kraj przez liczbę osób w rolnictwie krajowym zatrudnionych. W ten sposób otrzymuje się liczby uwytapiające; czysty dochód przypadający na każdego poszczególnego osobnika na roli pracującego. Te cyfry zaś porównane z cyframi oznaczającymi procent analfabetów

wydadzą wielce znamienne i pouczające wyniki. I tak wynosił dochód czysty na głowę w Dalmacyi, gdzie jest 72,6 procent analfabetów, tylko 5,42 koron; w Galicyi, gdzie analfabetów jest 56 pro-



W dzień zaduszny na cmentarzu.



KATAKUMBY RZYMSKIE.



Na opuszczonej mogile.

cent, 8,20 koron na głowę; tymczasem na oświeconych Morawach, gdzie tylko 5 procent jest analfabetów, wynosił czysty dochód na głowę aż 40,41 koron. Znaczy to, że światły rolnik morawski 5 razy bogatszy jest od rolnika galicyjskiego, a 8 razy bogatszy od Dalmatyńca. Za to tak Galicya jak Dalmacya toną w mrokach analfabetyzmu, gdyż w Galicyi większa połowa, a w Dalmacyi trzy czwarte ludności nie potrafi pisać i czytać, — podczas gdy na Morawach tylko 5 ludzi na sto jest analfabetami.

Na tym przykładzie znowu widzimy, że oświata bynajmniej nie jest dobrem wyłącznie tylko idealnem, lecz że ma doniosłe i ważne praktyczne i materyalne znaczenie, wartość, dającą się poniekać obliczyć w brzęczącej monecie.

Któżby nareszcie śmiał przeczyć, że uszczęśliwia ona nadto człowieka, że czyni go lepszym, zacniejszym, że hartuje wolę, zaostrza sumienie, podnosi ducha obywatelskiego i narodowego, że chroni od złych przyjaciół i występków? Toż

światłe społeczeństwo i w polityce szczęśliwsze, nie podlega tak łatwo podszeptom demagogów, łatwiej się wystrzega zarówno uludnych nadziei jak szkodliwego przygnębienia i rozpacz...

Więc nie powtarzajmy tylko ustami frazesu o oświacie, lecz otwórzmy dla niej samej serca i umysły. Czerpmy ją skąd można, a użyczmy jej też współbraciom, agitując za rzetelną oświatą. Nieskąpmy nareszcie grosza na zasilanie Towarzystw Czytelni Ludowych, pamiętajmy, że tysiące jeszcze braci naszych łaknie zdrowego, jędrnego pokarmu duchowego.

Nieśmy im oświatę!

Złote myśli.

Ach, dzisiejsze życie tak liche i tak mało warte! Oto każdy wlece swój własny ciężar, każdy ma przed sobą własny jakiś cel, a nie się nie robi dla jakiejś wzniosłej idei, któraby potęgą swoją perwać zdołała duszę.

* * *

Można z korzyścią przyjąć naukę nawet od nieprzyjaciela, ale nie należy być bezbezpiecznie dawać nauki nawet przyjacielowi.

Tajemnice.

Jak mąka przez sito, jak woda przez palce, tak przez usta nasze przelewają się wartkim strumieniem niebaczone słowa, zdradzające cudzą tajemnicę.

Rzekłbyś, niema w naszej duchowej głębi zakątka, gdzieby ów szacowany depozyt mógł sobie poleżeć spokojnie. Niby drzazga za paznokciem, dopóty dokucza, doskwiera, dopóki nie wyciągniemy go na powierzchnię języka, dopóki nie rzucimy światu...

Kto złożył tajemnicę z ufnością w sercu domniemanego przyjaciela, nie wie, nie podejrzewa nawet, ile to ust męło na plewę ten starannie ukrywany przed światem owoc jego myśli, uczuć lub pragnień!

Powierzone sobie pieniądze zamykamy „na trzy spusty” w głębi szaf ogniotrwałych, czuwamy nad nimi, gdyż za całość ich własną kieszenią odpowiadać jesteśmy zmuszeni. Za roztrwo-



NATURALISTA.

nienie cudzych tajemnic niema dotąd stosownej pieniężnej rekompensaty w rubrykach paragrafów karnych, więc...

Czyż jednak nie czujemy moralnego nakazu w postaci wyrzutów sumienia, następujących rychło po spełnieniu tego, nawskroś nieszlachetnego czynu? Zapewne. Głos jednak sumienia, głos rozsądku zbyt słabym jest dotąd hamulcem do poskromienia naszej gadatliwości; przedsmak przyjemnej gawędki ze znajomym lub znajomą o cudzym bólu, o cudzej trosce, która niby leży nam na sercu, zagłusza poczucie sprawiedliwości, przeszkadza trzeźwej ocenie własnego postępowania w tym razie. „Tak się jakoś wymówiło niechcący“, oto najczęstsza obrona języka, tego obosiecznego miecza. „Tak i język, mały członek, wszakże bardzo się wynosi. Oto maluczki ogień jako wielki las zapala“, mówi św. Jakób Apostół. Aby cudzych tajemnic nie roztrwaniać, po-

wierzonymi nam poufnie skarbami nie szafować, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie dokładnie, jak powstają tajemnice, z jakiego źródła biorą początek. Jak wielkie rzeki i strumienie rodzą się ze śniegów w nieprzebytych przepaściach i szczytach górskich, tak z łąz samotnych, z tęsknot i cierpień nad siły, w niedostępnych czeluściach ludzkiego ducha poczynają się tajemnice.

Czasem są to smutne lub sromotne nawet szczegóły, dotyczące urodzenia drogiej nam osoby; innym razem zdrada małżeńska, której wspomnienie kirem duszę powleka; to znów hańbiąca przeszłość bliskiego nam osobnika, lub upadek młodej, nieświadomej życia dziewczyny, to znów nie-szczęśliwe, nie dające się stłumić kochanie... i t. d. Nosimy w duszy ten ciężar przeróżnych tajemnic, trawimy się bólem, troską...

I nastaje chwila, kiedy siły duchowe i fizy-

czne odmawiają posłuszeństwa. Za ciężko nam, szukamy u osoby zaufanej, której wierzymy, rady, pokrzepienia, pomocy.

Po długich utarczkach ze sobą niesiemy do skarbnicy drugiej duszy pocztą we łzach, serdeczną naszą tajemnicę.

I... oddajemy ją nieświadomie na łup niepowściągliwego języka, na żer wiecznie łaknących nowin uszu.

Wyrobienie i uświadomienie społeczne chociaż osłabiło nieco tę szkodliwą wadę w mężczyźnie, nie usunęło jej jednak w zupełności; aby osiągnąć rezultaty dodatnie należy przeciwstawić zdwojony wysiłek woli.

Kobieta pod tym względem pozostała w tyle: gadatliwość i plotkarstwo niewiast znane jest ogólnie. Z chwilą jednak, gdy i ona poczuje się jednostką odpowiedzialną, niezbędną, szacowną kółeczkiem w wielkiej maszynie wszechludzkiej, znajdzie lekarstwo na ową brzydką wadę, własnemu językowi „okoniem się postawi“, a usta jej staną się dla cudzych zwierzeń przysłowiową „kłodką bez klucza“, po za którą każda tajemnica, błaża, czy ważna, uleży sobie bezpiecznie.



Podróż na około świata w beczce.

Tysiące już lat myśli człowiek i pracuje nad polepszeniem doli swej, swego bytu.

Skutki tych zabiegów olbrzymie. Lotem ptaków przerzuca się z jednego miejsca na drugie. Wielkie, dawniej nieprzebyte obszary wód przepływa w ciągu kilku dni, zamiast drewnianych domków i glinianych lepianek buduje niebotyczne „drapacze nieba“. Myśl swoją lotem błyskawicy rozsyła po całym globie.

Wszystko, wszystko, co tylko można było ujarzmić — ujarzmił i rzucił sobie, jako panu, pod nogi: i przestworza, i wnętrze ziemi, i wody rozłukanych mórz, i wichry... Gdzie spojrzysz i co zobaczysz — to wszystko w niewoli u człowieka. A kiedy spocznie, kiedy powie: „już mam dosyć“ — trudno przewidzieć.

Czasami tylko rodzą się jednostki, które objąwszy okiem duszy ogrom pracy człowieka, mówią: „Dla nas starczy — będziemy używać“ — i używają.

To pasorzyty...

Nie ominą, nie zapomną niczego, co może im dać chwilę rozkoszy, chwilę zadowolenia.

Do takich zaliczyć można dwóch Włochów: Zanardi Attilio i Vianello Eugeniusz, którzy postanowili odbyć podróż naokoło świata w beczce! Sprytni... gdyby zostali się w domu, nie wiedzieliby o nich świat, nie zostaliby.. bogaczami!

Pielgrzymka ta podjęta została niby to na skutek zakładu z pewnym milionerem amerykańskim o poważną sumę pieniężną. To zdaje się jednak jest tylko anegdotką, którą się tłumaczą owi podróżni wobec świata. Główną przyczyną tej sensacji jest myśl łatwego zarobku.

Panowie Zanardi i Vianello są mieszkańcami Wenecji, skąd wyruszyli w podróż naokoło świata 20 czerwca 1909 r. w beczce własnej konstrukcji.

Beczka ta ma 2 i pół metra długości i 1 $\frac{1}{4}$ m. wysokości. Wewnątrz jej mieści się łóżko i inne niezbędne dla podróżników przedmioty, tak zaś jest urządzona, że cała jej zawartość umocowana na ruchomej osi, pomimo obracania się beczki, pozostaje wciąż w pozycji poziomej. W beczce tej może więc jeden z podróżników swobodnie odpoczywać, gdy drugi ją popycha; jeżeli w drodze nie znajdą odpowiedniego schronienia obaj nocują w beczce.

W ciągu 15 miesięcy panowie ci zrobili około 10,000 kilometrów, przebywszy Północne Włochy, Szwajcaryę, Francję, Anglię, Belgię, Holandję, państwo niemieckie, Królestwo Polskie i część Austrii.

Najowocniej przyjmowano ich we Francji. W Paryżu powitani zostali przez syndykat bednarzy z orkiestrą na czele. Z Paryża udali się przez Calais do portu, skąd odjechali do Anglii. Podług objaśnień podróżników, od czasu opuszczenia Szwajcaryi, najcięższą drogę do przebycia mieli przez Bolonię i cieśninę pas de Calais. W czerwcu r. b. przybyli do Berlina, gdzie byli przyjęci bardzo gościnnie.

Z Berlina przez Poznań przeszli do Królestwa Polskiego, stąd udali się do Galicji, przebyli Galicję, lecz na południu, w Misku, zostali zaarrestowani, jako włóczęgi bez określonego zajęcia. Posuwają się naprzód bardzo wolno, robiąc dziennie tylko około 15 kilometrów.

W dziwnej tej podróży towarzyszy wędrowcom trzeci podróżnik — Wiktor Rossi, ale ten pozostaje w stosunku do dwóch pierwszych w roli świadka, opiekuna i kontrolera; jest on korespondentem gazet włoskich, francuskich, angielskich i amerykańskich.

Wszędzie, gdzie się pokażą ci podróżnicy, panuje wielkie zaciekawienie, połączone z entu-



Spotkanie w Karpatach.

zyazmem; ogromny zakup na karty pocztowe z podobiznami podróżników i towarzyszącej im beczki w rozmaitych pozach, daje ich sprzedawcom ogromne zyski, a sprzedaż pocztówek przynosi dochód tak okazały, że stokrotnie wynagradza trudy i niewygody tej ekscentrycznej podróży. Prawie każdego dnia targowali panowie Włosi po kilka,

a nawet po kilkanaście i kilkadziesiąt rubli za swoje podobizny, zachodzi więc przypuszczenie czy ci „królowie beczki i drogi bitej“, jak się sami nazwali, zebrawszy, a właściwie wycygnięwszy od otumanionych znaczne skarby, nie drapną tam, skąd przyszli, zostawiwszy źródło swych bogactw beczkę bez den gdzie w przydrożnym rowie

Przygoda z garbem.

W drukowanych obecnie w „Dzienniku Poznania” i „Czasie”, wspomnieniach *Heleny Modrzejewskiej* znajdujemy następujące zabawne wspomnienie z początków jej kariery artystycznej, gdy jeszcze grywała w trupie wędrownej w Galicyi.

Jeden z naszych aktorów, pisze Modrzejewska, człowiek młody, zdolny i władający piórem, a zagorzały zwolennik melodramatu francuskiego, stworzył (czy popełnił?) sztukę, osnutą na tle francuskiej powieści, pod tytułem „Garbus”. Bohater sztuki udawał przez trzy akty garbatego, dopiero w stanowczej chwili prostował swą sążnistą postawę, żeby opryszków skarcić i unicestwić ich zdradliwe podstępny. Otóż aktor ów mniemając, że zwykle sposoby nie starczą, by dać wrażenie człowieka garbatego, kupił pęcherz, wydał go i wpakował pod surdut na prawej łopatce. Następnie stolarzowi polecił deskami podstemplować jedną kolumnę tak silnie, by nie ugięła się, gdy oparłszy się o nią, pęcherz wygniecie i spłaszcy i tak w oczach widzów z garbatego stanie się roslim i smukłym, jakim był rzeczywiście. Zapomniał jednak o wieczystym i nieugiętym przykazaniu teatralnem: „Niczego grać nie będziesz, do brze nie wypróbowałeś wprzód”.

I gdy chwila stanowcza nadeszła i opryszk brali górę, bohater nasz podbiegł pod kolumnę, z mocą szturchnął o nią plecami i... odbił się od niej tak zamasyście, że się ledwie w pół sceny zatrzymał, a garb pęcherz piętrzył się równie nadećcie! Rozpaczliwe próby tłuczenia garbu o podpierające kolumnę deski spełzły na niczem.

Ja grałam wówczas nieszczęśliwą dziewczę, oczekującą ślubu z nienawidzonym człowiekiem. Stałam w ślubnej sukni w pobliżu garbusa, a oboje byliśmy częściowo zakryci tłumem statystów. Nie wiedząc o co mu chodzi, zauważyłam, jak się z kolumną boryka, gdy nagle spostrzegłam, że dobywa noża... Z przerażeniem patrzyłam mu na rękę, widząc, że w strasznym jest podnieceniu, którego źródła nie mogłam odgadnąć, a on do mnie podszedł i z dziką rozpaczą w twarzy, podając mi nóż, wyszeptał:

— Błagam, przebij mi pęcherz!

— Co takiego? — zawołałam.

— No przetrnij mi pani, do diabła, ten przekłety pęcherz na plecach! — wyszeptał zniecierpliwiony.

Wtedy zrozumiałam i co żywo, ale ukradkiem, wbiłam nóż po samą rękojeść w garb bohatera, gdy nagle... Nie! to było wręcz straszne: gdy

wyciągnęłam nóż z garbu, pęd powietrza, wydostając się, zaczął pogwizdywać cienko i przeraźliwie.

Ten świst niespodziewany pobudził mnie do szalonego śmiechu. W widowni nic nie zauważono, ale ja zanosila się wręcz od śmiechu, patrząc na twarz bohatera, dławiącego przekleństwa z zaciśniętymi zębami. I wtedy, posłyszawszy wyraz, po którym wkraczałam już w akcję, zarzuciłam sobie welon na twarz, chustkę przycisnęłam do ust i w ten sposób, ze spuszczonego oczyma, wystąpiłam na przód sceny. Czułam, że parsknę, gdybym tylko otworzyła usta, udałam więc zemdlenie i runęłam jak długa, na ziemię, trzęsąc się od tłumionego śmiechu.

Zasłona spadła. Bohatera oklaskiwano. Moje zemdlenie uchodziło powszechnie za należące do akcji melodramatu, a jeden z krytyków podniósł nawet oryginalność mego powalenia się na ziemię. Łatwo sobie wyobrazić, jak się ubawiłam, czytając nazajutrz:

...i wtedy tyłem się odwróciła od publiczności ale wszyscy widzieć mogli tę straszną mękę, wstrząsającą ciałem jej, tak smukłym ciałem; wtedy ostatnim, rzekłbyś, wysiłkiem na twarz zarzuciła sobie zasłonę i na ziemię padła martwa, a jeszcze cierpieniem drżąca“...



Z dziejów samochodu.

Konstruktorem pierwszych samochodów był mechanik francuski Józef Cugnot, urodzony w miasteczku lotaryńskim Void w r. 1725. Zbudowany przez niego wóz parowy znajduje się obecnie w paryskim Muzeum Sztuk i Rzemiosł. Wóz ten biegł z szybkością czterech kilometrów na godzinę, lecz co kwadrans się zatrzymywał, potrzebując 15 minut czasu dla zasilenia kotła. Próby z tym pierwszym samochodem odbywały się na ulicach Paryża w r. 1769, w obecności ministra wojny, ks. Choiseul i innych dostojników. Wykazały one, iż samochód Cugnota nie nadaje się do przewożenia ciężarów po ulicach miasta; sądzono jednak, iż z pewnemi zmianami, znajdzie zastosowanie do przewożenia ciężkich dział fortecznych. Wynalazca otrzymał zasiłek rządowy i zbudował drugi samochód, na tych samych zasadach oparty; przy pierwszych jednak próbach, maszyna, nieumiejętnie kierowana, rozwalila mur domu, a niepowodzenie to pozbawiło Cugnota

protekcji rządowej. Niezrażony wypadkiem, wynalazca obmyślił nowy parowóz, o ulepszonej konstrukcji. I tego los jednak był niepomysłnym, rozbił się bowiem, zawadziwszy o narożnik kamienicy na placu Madeleine. Okoliczności te sprawiły, iż dalsze próby z niebezpiecznym przyrządem zostały wzbronione. Zawiedziony w nadziejach, Cugnot umarł w zapomnieniu. Gdy wszakże samochody zaczęły się rozpowszechniać, przypominano sobie, że on był pierwszym ich konstruktorem i postanowiono go uczcić pomnikiem wzniesionym w jego rodzinnym mieście Void, według projektu artysty-rzeźbiarza Dezyderusa Fossego.

Po Cognocie, nad budową samochodów pracowali: Amerykanin Robinson w r. 1774 i znakomity inżynier angielski, James Watt w r. 1784. Pomysły ich również nie znalazły praktycznego zastosowania. Szczęśliwszym był Ryszard Trevetick, wynalazca angielski. Zbudował on w roku 1802 wóz motorowy, przeznaczony do kursowania po zwykłej drodze, gdy jednak wóz poruszać się nie mógł, ułożono na drodze podkłady żelazne. Po tych podkładach wóz biegł dość szybko, lecz w miejscowościach spadzistych koła ześlizgiwały się, musiano używać hamulców, co okazało się zbyt uciążliwym.

W r. 1825 występuje z nowym pomysłem samochodu inżynier Gurney, o którym „Magasin Universel” z r. 1834 podaje szczegóły następujące:

„Inżynier angielski Gurney zbudował wóz motorowy, który poruszał się nawet po stromych drogach. Ale wynalazek jego miał wadę: był bardzo ciężki, ważył bowiem 8,000 funtów. Gurney zatem udoskonalił go. Nowy jego samochód, znacznie lżejszy, składał się z dwóch części: w jednej, podobnej do breku, mieściła się machina parowa; w drugiej, znajdującej się z tyłu, sadowali się podróżni. Za pomocą przyrządu korbowego, konduktor wprawiał w ruch dwa koła przednie i kierował pojazdem dowolnie, a nawet mógł go cofać. Pojazd ten kursował przez 4 miesiące 1831 roku, pomiędzy Gloucester i Cheltenham, na przestrzeni 3 i pół mili, przewożąc po 36 osób z bagażami. Po 4-ch miesiącach drogę musiano naprawić. Nawieziono na nią warstwę świeżej ziemi, w której koła pojazdu tak się zagłębiały, że trzeba było użyć większej siły do przewyciężenia oporu. Wówczas machina uległa strzaskaniu.

Samochodom jednak groziło niebezpieczeństwo z innej strony. Właściciele dyliżansów konnych przeczuwając, że nowo wynalezione pojazdy mogą ich przyprawić o bankructwo, przekupili

komisarzy drogowych i przy ich pomocy osiągnęli, iż Parlament nałożył na samochody podatek o wiele większy, aniżeli opłacali oni od swoich wehikułów. To wstrzymało rozwój samochodów, jak również i to jeszcze, że do Parlamentu wniesiono petycję o zupełny zakaz komunikacji samochodowej, jako zagrażającej życiu ludzkiemu. Lecz zwolennicy nowego wynalazku nie siedzieli też bezczynnie. Zażądali gruntownego rozpatrzenia sprawy. Jakoż wyznaczona komisja specjalna przysłała do następujących wniosków.

„Samochody na drogach zwyczajnych mogą kursować z szybkością 3 mil na godzinę. Z tą szybkością mogą przewozić po 14 pasażerów. Ciężar pojazdu, wraz z pasażerami, ich bagażami, wodą i węglem, nie przenosi 7,000 funtów. Posiadając koła szerokie, mniej niszczą drogi, aniżeli pojazdy zaprzężone końmi, których kopyta szybko uszkadzają bite gościńce. Podróżni nie są narażeni na żadne niebezpieczeństwo, a przytem jeżdżą wygodniej, szybciej i taniej. Samochody mogą kursować nawet po drogach pochyłych. Wszystkie te względy przemawiają za tem, żeby samochodom nie tylko nie wzbraniać kursowania, ale żeby zmniejszyć nałożony na nie podatek”.

Parlament angielski uznając słuszność wniosków komisji, pozwolił kursować samochodom i podatek, obciążający je, znacznie obniżył, „aby dać możność rozwinięcia się nowemu rodzajowi komunikacji, która z pewnością odda Anglii wielkie usługi”.

Odtąd datuje się rozwój samochodów. Zjawiają się coraz to nowe pomysły, ulepszające wynalazek Gurneya. Do najgłośniejszych należał pomysł d-ra Churcha z Birminghamu. Konduktor i podróżni zajmują całą przednią część pojazdu, maszyna zaś umieszczona jest z tyłu. Woda rozprowadzona w cienkich rurach, szybko się ogrzewa i zamienia w parę. Konduktor, siedzący na przodzie, wprawia w ruch przednie koło trycyklu i dowolnie kieruje wozem. Koła szerokie nie rujnowały drogi. Samochód Churcha kursował z Londynu do Birminghamu, a stamtąd do Manchesteru i Liverpoolu, z szybkością 5 mil na godzinę. W porównaniu z zawrotną szybkością samochodów dzisiejszych, była to podróż żółwia, ale jak na początek, stanowiła poważny zysk na czasie.

Wysokie są Alp i Tatrów szczyty, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy.

Brodziński.

Artylerzysta siłacz.

Organizacja artylerii, stosownie do różnego jej przeznaczenia, dzieli się na polową, oblężniczą, wałową i nadbrzeżną; każda też z nich przedstawia pewne różnice, tak co do swej stony materialnej, jak również co do urządzeń. Najważniejszą z tych gałęzi jest artyleria polowa, ona to bowiem rozstrzyga losy bitew, a więc i losy wojny. Jednostką organizacyjną jest bateria czyli kompania, z 6 w Niemczech i we Francji, a z 8 w Rosji i Austrii armat złożona, stosownie do gatunku armat zwana: ciężką lub lekką.

Obecnie armaty w pięciu pierwszorzędnych państwach Europy są stalowe, rżnięte, nabijane od tyłu. W wagomiarze także mało różnią się pomiędzy sobą, zawiera się on bowiem dla ciężkich pomiędzy 87 i 90 mm., a dla lekkich pomiędzy 75 i 80 mm. Zaprząg pod działą, ciężkie czy lekkie, składa się jednakowo z 6 koni; przy każdej armacie musi być trzech jezdnych kanonierów. Obsługi przeznacza się dla armat ciężkich po 7, a dla lekkich po 6 ludzi. Wszyscy oni, podczas ruchu baterii, zajmują miejsca na przodkarzu i łożu. Służba przy armatach konnych składa się z 9 ludzi, ale między nimi jest 3 woźniców. Każda bateria ma przy sobie, dla przewożenia ładunków, pewną ilość wozów amunicyjnych, których na baterię ciężką liczy się 16, a na lekką i konną 12.

Wozy te są czterokołowe, zaprzężony każdy w 6 koni, z 3 jezdnyimi kanonierami. Prócz tego każda kompania posiada tabór, z 8 wozów złożony. Tak więc bateria ciężka na stopie pokojowej zawiera: 6 oficerów, 195 szeregowców, 8 armat, 49 koni, 16 wozów amunicyjnych; lekka: 6 oficerów, 160 szeregowców, 8 armat, 49 koni, 12 wozów amunicyjnych; konna: 5 oficerów, 167 szeregowców, 186 koni, 12 wozów amunicyjnych. Na stopie zaś wojennej bateria ciężka liczy: 6 oficerów, 237 szeregowców, 8 armat, 217 koni, 16 wozów amunicyjnych; lekka: 6 oficerów, 205 szeregowców, 8 armat, 191 koni, 12 wozów amunicyjnych; konna: 5 oficerów, 180 szeregowców, 6 armat, 205 koni i 12 wozów amunicyjnych.

Do artylerii polowej należą jeszcze baterie górskie, każda w liczbie 8 dział 2—5 calowego wagomiaru, ważące tylko po 6 pudów; te w potrzebie przewożą się na koniach jucznych, a w podobny sposób przewozi się i amunicja. W miejscowościach stromych i bezdrożnych, niedostępnych dla koni, armaty przeciągać muszą sami artylerzyści. W przewidywaniu takich wypadków, do

obsługi baterii górskich powołuje się ludzi szczególnie silnych. Jedną z włoskich baterii górskich, załogującą w Conegliano Trevizo, szczyci się posiadaniem niezwyklego siłacza. Jest nim bombardyer Dominik Bettesse. Przenosi on sam na barkach działą polowe i poczytuje sobie to za igraszkę.



TO I OWO.

Nierównomierność ciała ludzkiego.

Znanem jest powszechnie zjawisko, że obie połowy ludzkiej twarzy mniej [lub więcej] różnią się od siebie. Wystarcza niejednokrotnie przelotne spojrzenie, aby się o tem dowodnie przekonać. Do nowych jednak interesujących rezultatów doszedł francuski antropolog Godin po szeregu bardzo skrupulatnych badań. Stwierdził on mianowicie, że także w uszach ludzkich zachodzi różnica i to nieraz bardzo znaczna. Wśród stu chłopców w wieku lat 13, których Godin badał pod tym względem, 89 miało lewe ucho dłuższe, aniżeli [prawe, tylko w jednym wypadku prawe ucho było dłuższe od lewego. Wśród stu badanych dwudziestotrzechletnich młodzieńców 79 miało lewe ucho dłuższe, niż prawe. Pomiar przeprowadzone na 100 żołnierzach dały mniej więcej podobny rezultat. Szczególnie charakterystycznym jest jeszcze inny fakt, zaobserwowany przez Godina. Oto z biegiem lat różnica długości coraz bardziej się zmniejsza i wyrównuje. Młodzi ludzie, u których w 13 roku różnica wynosiła 5 milimetrów, badani w 5 lub 6 lat później, mieli już różnicę długości obu uszu tylko do 3 milimetrów. Obserwacje Godina dowiodły także, że wszyscy ludzie, u których nierówność uszu wynosiła ponad pół centymetra, byli mniej lub więcej upośledzeni na umyśle. Badacz francuski prowadzi w dalszym ciągu swoje obserwacje, nie wyciągając z nich dotąd ostatecznych wniosków.



Muzykalna krowa.

Z Niederhofu w Austrii donoszą do wiedeńskiej gaz. „Reichspost“ o następującym ciekawym wypadku. Przed kilku dniami włościanin miej-

scowy pędził krowę do rzeźnika na zabicie. Krowa, czy to ze zmęczenia, czy też przewidując swój smutny koniec, położyła się nagle na środku drogi i wyciągnęła nogi przed siebie. Ani bicie, ani przekonywania nie pomogły i biedny podróżny byłby popadł w rozpacz, gdyby nie wybawił go z nieszczęścia przejeżdżający właśnie kołownik. Pędząc na kołowcu, zauważył on z daleka olbrzymią krowę przegradzającą drogę i zaczął mocno przygrywać na trąbce ostrzegawczej. Wesoły ton trąbki widocznie wywarł silne wrażenie na krowę, gdyż nagle wstała i poszła całkiem zadowolona swoją drogą. Przyszedłszy do wrót miasta, krowa znowu padła i zdało się, iż już ma zdechnąć. Teraz włościanin już wiedział, co ma robić. Zawołał kołownika i kiedy ten znowu zagrał na trąbce, krowa powtórnie wstała i poszła dalej. Aby jednak zabezpieczyć się od dalszych upadków, urządzono pochód w ten sposób: na przedzie szedł włościanin, za nim krowa, na końcu kołownik, wciąż grający na trąbce, a naokoło — tłum zaciekawionych włościan, żołnierzy i przygodnych widzów. W ten sposób krowa doszła wreszcie do rzeźni i obecnie pozostają z niej tylko kości.



Sprzedawał włosy papieża...

W pałacu papieskim zauważono, że jeden ze służby najbliższej papieża, niejaki Antoni Graziadel posiada zawsze sporo gotówki i pozwala sobie na większe wydatki, niż na to może mu starczyć pensya. Śledząc go bliżej, stwierdzono, że pomysły ten sługa sprzedawał włosy papieża za grube pieniądze naiwnym pielgrzymom, zwłaszcza cudzoziemcom. Gdy papież dawał włosy strzyż nadwornemu balwierzowi, Graziadel zbierał je i następnie sprzedawał, zebrawszy za nie kilka tysięcy lirów. Pomysłowego sługę wydalonono, a kilka loków papieskich, jakie miał przy sobie, skonfiskowano.



Gdzie umiera najwięcej dzieci?

Przed 80 laty, gdy w Norwegii prawie każdy dom włościański miał swą własną małą gorzelnię i pijaństwo było najbardziej rozgałęzione, na 1000 noworodków umarło 300 w pierwszym roku życia. Rozpoczął się wówczas w Norwegii silny ruch wstrzemięźliwości, a lud uświadomiony przepro-

wadził prawa, znoszące gorzelnie domowe i ograniczające sprzedaż trunków.

Następstwem tego było, że śmiertelność niemowląt zmniejszyła się ogromnie i wynosi dziś zaledwie 80—90 na tysiąc. Dziś wzrasta tam nowe, silne i zdrowe pokolenie.

W Bawarii zaś, w klasycznym kraju piwa, panują dziś te same stosunki co ongi w Norwegii, i na 1000 niemowląt umiera około 300 w pierwszym roku życia. Na 237,000 noworodków, rocznie przychodzi na świat około 6500 nieżywych; z pośród 230,000 dzieci urodzonych żywo, umiera już w pierwszym roku życia 69,000.

Oczywiście, że przyczyną tej wysokiej śmiertelności jest ów „napój ludowy” — piwo.



Najdroższy pies na świecie.

Niedawno w Kalkucie zdechł „najdroższy pies na świecie” własność pana Waltera Jeffries. Ten drogocenny pies oceniony na 1,200 funtów szterlingów był buldogiem i zwał się Dick Stone, posiadał on podobno wszystkie zalety psiego rodu. O posiadanie Dick Stone'a ubiegali się wszyscy miliarderzy amerykańscy i maharadżowie indyjscy, a którzy ofiarowywali p. Walterowi Jeffries'owi bajeczne sumy, lecz p. Jeffries nie chciał się rozstać ze swym ulubieńcem i dumą swej psiarni.

Dick Stone zdechł w „kwiecie wieku”, gdyż liczył zaledwie 6 lat życia, zleciał on z wysokiego tarasu i potłukł się tak, że wszelkie zabiegi lecznicze, jakich nie szczędzono „najdroższemu psu” nie pomogły.

Na wieść o wypadku ze Stonem, mieszkanie p. Jeffriesa było przez dwa dni formalnie oblężone przez reporterów pism, którzy dobijali się o szczegóły opisu śmierci psa i o „wspomnienia z jego życia.



Zwinność zwierząt.

Pewien uczony niemiecki p. Oldhausen, który poświęcił się badaniu życia zwierząt, obliczył pomiędzy innemi szybkość ich ruchów. Okazało się, że najpowolniejszym stworzeniem na świecie jest ślimak, który w ciągu godziny przechodzi zaledwie 40 centymetrów, odpoczywając ze zmęczenia co parę centymetrów. Najszybszą zaś jest pchła, której szybkość równa się 275 metrom na minutę, co stanowi 16 i pół kilometra na godzinę.



PARASOLE

najlepszej jakości
męskie i damskie
od 3 kor., poleca

Teofil Bęknier

Kraków, Długa 4.



Dla dzieci!

polecamy książeczki wydawane przez
Jadwigę z Łobzowa.

- | | | |
|-----|-------------------------------------|--------------|
| 1) | „Polne kwiaty“ zbiór legend . . . | cena 70 hal. |
| 2) | „Jak ja się bawiła“ wierszyki . . . | 40 „ |
| 3) | „O królownie Kasi“ powiastka . . . | 40 „ |
| 4) | „Trzeci Maj“ obrazek | 40 „ |
| 5) | „Powinszowanie“ wierszyki . . . | 30 „ |
| 6) | „Przed latami“ wiersze | 50 „ |
| 7) | „Paciorek“ wiersze | 50 „ |
| 8) | „Pójde ja pójde“ deklamacye . . . | 40 „ |
| 9) | „Coś dziwnego“ wiersze i powiastki | 30 „ |
| 10) | „Korale Marysi i Kasi“ teatrzyk . . | 20 „ |
| 11) | „Król kochany“ teatrzyk | 20 „ |
| 12) | „Przeczytam kilka gawęd“ | 24 „ |
| 13) | „Krakowiaczek“ wierszyki narod. . | 30 „ |

Dostać można w wszystkich księgarniach,
albo pisać do Krakowa: **Jadwiga Strokowa,**
Kraków, Kilińskiego 5.

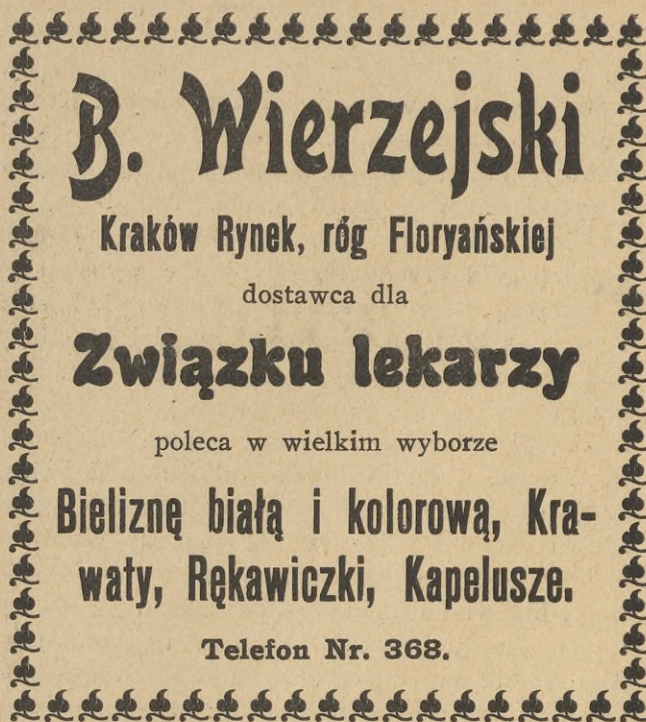
Przyrządy i słoje

do konserwowania jarzyn i owoców **systemu**
Wecka poleca wyłączny skład i sprzedaż

W. Halski, Kraków

Sukiennice 21, 22.

Cenniki ilustrowane na żądanie.



B. Wierzejski

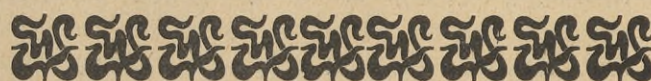
Kraków Rynek, róg Floryańskiej
dostawca dla

Związku lekarzy

poleca w wielkim wyborze

Bieliznę białą i kolorową, Kra-
waty, Rękawiczki, Kapelusze.

Telefon Nr. 368.



W. Stachowicz krawiec męski

W Krakowie. Rynek główny I. 29.

poleca na sezon wiosenny i letni wielki wybór
materiałów angielskich, francuskich i krajowych.

[👉] **Ceny umiarkowane.** [👈]



Skład fortepianów W. Barabasza

Kraków, Rynek 39, A-B.

dom W-go Fischera — poleca

instrumenta używane po
cenach najniższych, tak do
wynajmu jak i sprzedaży.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Z miny starego — nie! To filut! Ale z jego postępowania! On — zanadto hojny!

— Jakto?

— Ano — Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścioneł, a Jadzia wiecie co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Jadzia była czerwona z radości, tamta czerwona z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzań! On się przymila do nas!

— Musi tam coś być — ale co?

— Dowiemy się! — odpowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną za granicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przedtem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała, w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam.

44 T. N.

Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłabła, w parę dni potem depeszą został zawezwany do Gurowa doktor Downar i wieści się urwały.

Co prawda mniej to gryzło prezesa, jak nieobecność syna.

Gdy się przekonał, że go niema w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała, i gdy Kołocki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kartkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawiał się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny, zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stękaający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebywale postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od niego uciekła!

Prezes nagle o dziesięć lat odmłodził.

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć? Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać! Alem wyperswadował! Pojechał do Kijowa, żeby się otrząść!

— I tydzień tam siedzi! To nie może być! Albo łżesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem, że on desperował, wiem, że go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem nie poleciał za nią tego nie wiem!

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić! Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie? On mnie do grobu wpędził! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał.

Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać?

— Ona go nie chce! Żeby miał rozum i mnie słuchał, toby jej nie gonił! Teraz wróci wściekły.

— Albo ją przejedna, pogodzą się, i znowu ją tu sprowadzi.

— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: auf das gewesene giebt der Jude nichts! To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obadwa zerwali się.

— Kazia! Nareszcie! — zawołał prezes.

A tuż i ona stała już w gabinecie blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ścisnąć i całować — wołając:

— Zkądże? Jakim pociągiem! Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszcę. Cóż tam słyszeć? Jak macocha?

— Źle! — odparła smutno. — Jest i ojciec, i doktor Downar pocziwy nam towarzyszył. Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacja, przytem ma wadę serca! Bardzo źle!

Przywitała Radlicza, o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzież twój ojciec? — spytał prezes. — A mała? Została w Gurowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał. Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę. A tu macocha chce, że-

bym jej nie odstępowała. A ja doprawdy, takam zmęczona, że ledwie stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przedewszystkiem się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto! — oburzył się prezes. — Spójrz jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię! — ofiarował się Radlicz. — Zobaczysz pani jak się na tem znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam

— Przekona się pani. Za godzinę przyśle tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł.

Ona poczęła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził, uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy, śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieczętowanej służby, wszystkiemu, co przeżyła i zastała, byle jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i spytała, gdzie jest!

Po godzinie maszyna domowego życia poczęła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony.

I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia śnać ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała i omówiwszy warunki i obowiązki, odprawiła do jutra.

Wtedy prezes rzekł:

— Wiesz, że Andrzeja niema?

— Widzę! Nigdy go o tej godzinie niema.

— Ale go i potem nie będzie. Wyjechał za granicę.

— Tak? Na długo? — spytała obojętnie.

— Nie mógł określić dnia powrotu. Pojechał do Berlina w interesach fabryki.

Nie pytała więcej.

Usiadła w fotelu, przymykając zmęczone bezsennością oczy.

— Trzeba iść! — szepnęła.

— Dokąd? Krokiem cię nie puszcę. Macocha pastwiła się nad tobą, zamęczała! Teraz niech sobie szuka opieki.

Otworzyła oczy.

— Była dla mnie złą, teraz jest chorą śmiertelnie. Będę jej służyć, jak córka. A ojciec!

Wstała, wyprostowała się, siłą woli otrząsając zmęczenie!

— Pójdę, tatusiu. Przyjdziemy z ojcem na obiad.

— Czekaj — utrapienie. To i ja pójde z tobą.

Ubrał się, wyszli. Po drodze, gdy spotkali kilku znajomych, rzekł:

— Bo nie wiesz, co tu się stało! Gdyście tak oboje zniknęli z Warszawy, powstała plotka, żeście się rozeszli. Musimy się razem pokazywać.

Spojrzała uważniej na niego; zastanowiła się dopiero nad położeniem.

Tyle wrażeń innych miała w pamięci, tak się czuła jeszcze wśród trosk i wydarzeń górskich, że z pewnym trudem wracała do stosunków swego domowego pożycia.

— Gdy Andrzej wróci, pokażemy się razem w teatrze i będzie znowu o nas cicho.

— Żeby on rychło wrócił — westchnął prezes.

— Ojciec wątpi. Może on wcale za interesami fabryki nie pojechał nawet.

— A jeżeli? — spytał prezes zgnębiony.

Brwi Kazi zbiegły się na sekundę.

— W takim razie nic nie pomoże, jeśli mnie z ojcem nawet będą widywać. Nie uratujemy opinii, gdy on o nią niedba.

— Kaziu, ty mówisz tak obojętnie, jakby to nie o ciebie chodziło.

— A czyż to o mnie chodzi? Cały świat wie, dzięki jego taktowi, że jestem żoną opuszczoną, zdradzoną, tolerowaną zaledwie. W niczem nie zmodyfikował swych kawalerskich zwyczajów. Robiłam, co mogłam, aby moje śmieszne i upokarzające położenie zamaskować, ale teraz nie widzę sposobu uratowania pozycyi, gdy on, jak przypuszczam, wyjechał za granicę z kochanką, i zresztą nie widzę, co już więcej ludzie mogą na nas pleść, jak dotychczas. Chciałabym tylko ukryć prawdę przed ojcem i myślę, że nawet lepiej, iż nas razem nie zobaczy.

— Ale ty nie wiesz wszystkiego, co tu się porobiło. Ta baba go rzuciła i wyjechała.

Ruszyła z lekka ramionami.

— A on za nią pogonił.

— Skąd wiesz?

— Domyślam się.

— Tak. Ten osioł myśli, że ją odzyska!

— Życzę tego z całego serca.

— Kaziu! To okropne, co mówisz. Więc ty nic, ani trochę nie dbasz o niego?

Zagryzła wargi, żeby nie rzec złego słowa i odpowiedziała po chwili.

— Życzę, żeby z tamtą wrócił, bo jeśli ją straci, będzie się mścił na mnie. A doprawdy — dla ojca i dla was, tatusiu, i dla siebie samej, by nie łamać mej przysięgi małżeńskiej, nie chciałabym, o za nic nie chciałabym go znienawidzić. A czuję, że gdy tamtą straci, już nie obojętną mu będę, ale nienawistną i on mnie również.

— A ja inną widzę przyszłość! On stamtąd wróci sam i uzdrowiony. Przejrzy, opamięta się, wyzwoli z pod opętania tej baby — i..

Prezes, upojony nadzieją, spojrzał na nią z uśmiechem, ale twarz młodej kobiety miała taki wyraz zgrozy i chłodu, że się przeraził.

— Kaziu, zlituj się, ty mu przecie wybaczysz, darujesz, będziesz dobrą dla niego. Ty tego nie uczynisz!

— Czego? — Odepchnąć męża, który raczy być łaskawym dla mnie. Cóż znowu! Alboż żonie to nawet wolno? Dajmy pokój tej kwestyi, tatku. Niema o czem mówić. Będzie, jak on zechce!

Dojrzała troskę na jego twarzy, opamiętała się, przytuliła serdecznie do jego ramienia i rzekła głosem, pełnym łez:

— Tatusiu — proszę mieć dla mnie względy. Jestem strasznie zmęczona i zdenerwowana. Tydzień byłam nad konającą, tydzień z chorą macochą, straciłam moc i panowanie nad sobą. Muszę trochę wypocząć i opamiętać się. Doprawdy, jak się widzi chorobę i śmierć, nabiera się do życia pogardy i lekceważenia. Niech się tatuś nie troska i we mnie nie wątpi.

Ale prezes nie mógł odzyskać otuchy i dobrej nadziei, opadły go gromadą zgryzoty i troski.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— A ten Kołocki z tym obrazem?

— O tem nic nie wiem. Co za obraz?

— Radlicza, na którym ty jesteś sportretowaną podobno. Muszę raz pójść na wystawę i zobaczyć czy to prawda. Kołocki daje Radliczowi trzy tysiące, a ten sprzedać nie chce.

— Niech mu da pięć, ale co nam do tego targu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Mam go ciągle; dziś nie opłaciłbym go milionami, Genowefo, dziś on znaczy tyle, co życie, tyle co szczęście!

— O! Boże mój, Boże! bądź błogosławiony! — zawołała młoda kobieta.

— Jak ci wiadomo, mam ziemską posiadłość, którą rządzi stary sługa mojej rodziny, prawdziwy syn Francji i prawy człowiek, któremu zaufać możemy. Dochody z tej posiadłości będzie mi przysyłał dokąd tylko zechce. Udając się do Boulogne wstąpimy do niego.

— Gdzież on mieszka?

— W okolicy Abeville.

— A kiedyż wyjedziemy, mój Maurycy?

— Za godzinę.

— Nikt więc nie ma wiedzieć, że wyjeżdżamy.

— Nikt też wiedzieć nie będzie. Biegnę do Lorina; on ma kabriolet a ja konia; pojedziemy natychmiast, skoro powrócę. Ty, Genowefo, zostań tu i przygotuj na drogę co potrzebniejszego. Nie wiele rzeczy brać z sobą potrzebujemy, bo to czego nam braknie, zakupimy w Anglii. Wyszłę Scewolę, aby oddalić go z domu. Lorin wytłumaczy mu dziś wieczór powód naszego wyjazdu, a my tymczasem będziemy już daleko.

— Ale jeżeli nas w drodze zatrzymają?

— Alboż nie mamy paszportu? pojedziemy do Huberta, tak się nazywa mój intendent. Jest on człowiekiem municypalności w Abeville; pod jego strażą i w jego towarzystwie wyruszymy zamtąd do Boulogne; tam kupimy sobie albo najmiemy barkę. Wreszcie mogę pójść do komitetu, wyrobić sobie komisyoryum de Abeville. Ale nie Genowefo, nie uciekajmy się do podstępów, a raczej kosztem naszego życia osiągniemy nasze szczęście.

— Tak, tak, mój przyjacielu, a pewno je osiągniemy. Ale jakżeś się dziś wyperfumował,

mój przyjacielu! — rzekła młoda kobieta, tuląc swą twarz do piersi Maurycyego.

— Prawda, przechodząc koło pałacu Równości kupiłem ci bukiet fiołków, ale kiedym tu wszedł i zastał cię tak smutną, pamiętałem tylko o tem aby cię zapytać o przyczynę tego smutku.

— O! dajże mi go, daj, ja ci oddam.

Genowefa napawała się wonią tego bukietu z pewnym rodzajem fantastycznego upodobania w zapachu, jakiemu ulegają nerwiste istoty. Po chwili oczy jej zasły łzami.

— Co ci to? — spytał Maurycy.

— Biedna Heloiza — szepnęła Genowefa.

— Ah! prawda — wzdychając odpowiedział Maurycy. — Ale myślimy o sobie, kochana przyjaciółko, dajmy pokój umarłym, do jakiegokolwiek stronnictwa należeli, niech teraz spią swobodni w grobie, który im zbudowało poświęcenie. Żegnaj cię! odchodzę.

— Powracajże jak najspieszniej.

— Będę tu prędzej jak za pół godziny.

— A jeżeli Lorina nie zastaniesz w domu?

— Mniejsza o to! jego służący zna mnie; a przysięgam ci, że go zastanę w domu czy nie, przecież mi wolno brać u niego co mi się podoba, i nawzajem jemu to samo wolno uczynić u mnie.

— Dobrze, dobrze.

— Ty zaś, moja Genowefo, przygotuj wszystko, ale ogranicz się i zabierz to tylko co najpotrzebniejsze; wyjazd nasz nie powinien mieć pozoru przenosin.

— Bądź spokojny.

Młodzieniec szedł ku drzwiom.

— Maurycy! — zawołała Genowefa.

Powrócił i ujrzał że młoda kobieta wyciąga ku niemu ręce.

— Do widzenia! moja luba, do widzenia! — rzekł — nabierz odwagi! za pół godziny znowu będę przy tobie.

Jak powiedzieliśmy, Genowefa pozostawszy sama, zajęła się przygotowaniami do podróży. Czyniła to z jakimś gorączkowym drżeniem. Dopóki pozostawała w Paryżu ciągle mniemała, że jest podwójnie winną. Sądziła, że skoro opuści Francję, skoro się ujrzy za jej granicą, występki który nie jej samej, ale raczej nieszczęsnemu zrządzeniu przypisywać należało, nie tyle ciężkim będzie. A uwiedziona nadzieją przypuszczała nawet, że w ustroniu i samotności zapomni, że oprócz Maurycyego inni jeszcze ludzie istnieją.

Według umowy schronić się mieli do Anglii. Tam postanowili nabyć domek, małą zagrodę, samotną, odosobnioną, usuniętą z przed oczu wszystkich; mieli zmienić i zespolić swoje nazwiska. Tam postanowili przyjąć dwoje służących, którzyby zupełnie nie znali ich przeszłości, a traf sprawiał, że oboje mówili płynnie po angielsku. Żadne z nich nie pozostawiało we Francji przedmiotu godnego żalu, chyba tę matkę, której każdy żałuje, chociażby nawet była macochą. Genowefa więc zaczęła wybierać przedmioty niezbędne w ich podróży, a raczej w ich ucieczce. Jak niewypowiedzianej rozkoszy doznawała oddzielając pomiędzy innymi te, które Maurycy najlepiej lubił; suknię, która mu najpiękniej do figury przystawała, chustkę do szyi, która najlepiej odbijała przy jego cerze, książki, które najczęściej czytywał. Już prawie wszystko ukończyła; już suknie, bielizna, książki, czekając na walizę, która je w sobie zamknąć miała, leżały rozrzucone na krzesłach, kanapach, fortepianie; w tem klucz w zamku zaskrzypiał.

— Otóż i Scewola wraca. Widać, że go Maurycy nie spotkał!

I dalej zajmowała się swą pracą.

Drzwi od salonu stały otworem, słyszała jak oficjalista chodził po przedpokoju, zawinawszy więc jakieś nuty i szukając miejsca na ich schowanie.

— Scewola! — zawołała.

W przyległym pokoju dał się słyszeć odgłos zbliżających się kroków.

— Scewola! — powtórzyła Genowefa — pójdz no tu, proszę cię.

— Oto jestem! — rzekł jakiś głos.

Na dźwięk tego głosu Genowefa nagle się odwróciła i wydała krzyk okropny.

— Mój mąż! — zawołała.

— On sam — spokojnie rzekł Dixmer.

Genowefa siedziała na krześle i szukała czegoś w szafie; na widok męża uczuła nagły zawrót głowy, opuściła ręce i padła jak długa, są-

dząc, że się pod nią otworzy przepaść i że ją pochłonie.

Dixmer podtrzymał ją, przeniósł na kanapę i posadził.

— I cóż to moja kochana? — spytał — czy obecność moja tak przykre sprawia na tobie wrażenie?

— Umieram — wyjąknęła Genowefa w tył padając i oburącz zakrywając oczy, aby nie widzieć tak strasznego zjawiska.

— Cóż, moja kochana — rzekł znowu Dixmer — czy mię miałaś za umarłego, czyż sądzisz że jestem upiorem?

Genowefa błędnem okiem powiodła około siebie, a postrzegłszy portret Maurycyego, zsunęła się z kanapy i padła na kolana, wzywając niby pomocy tego bezwładnego i nieczulego obrazu, co się do niej uśmiechać nie przestawał. Biedna kobieta pojmowała, ile groźby ukrywał Dixmer pod maską łagodności.

— Tak, moje kochane dziecię — mówił dalej majster garbarz — ja to jestem; sądziłaś może, żeś gdzieś daleko za Paryżem; a tymczasem jam się z niego ani nie ruszył. Nazajutrz po wyjściu z domu wróciłem i na jego miejscu ujrzałem jak najpiękniejszą kupę popiołu. Wypytywałem ludzi o ciebie, nikt cię nie widział. Począłem cię więc szukać i z niemałym trudem znalazłem. Przyznam, żeś nie spodziewał się, zastać cię tutaj, a jednak wpadłem na tę myśl, bo jak widzisz, przyszedłem tu. — Ale najgłośniejsza, żeśmy oboje żywi. Jakże się ma kochany Maurycy? Wierz mi, że czuję ile cierpieć musiałaś, ty tak dobra rojalistka, że ci wypadło żyć pod jednym dachem z tak zajadłym republikaninem.

— O Boże! Boże! zlituj się nademną! — pomruknęła Genowefa.

— Ale koniec końcem — mówił znowu Dixmer w koło się oglądając — pociesza mnie to, żeś tu bardzo dobre miała pomieszkowanie, i jak się zdaje proskrypcya nie wielkie na tobie zrobiła wrażenie. — Ja, od chwili jak zgorzał mój dom, jak znikł nasz majątek, błąkałem się na los szczęścia, mieszkalem w głębi piwnic, na dnie rybactkich łodzi, a nieraz nawet w otworach kanałów, wpadających do Sekwany.

— Panie! — jęknęła Genowefa.

— Ty masz tu piękne owoce; ja nieraz musiałem się obejść bez desseru, a nawet i bez obiadu.

Genowefa łkając w obu dłoniach ukryła swą głowę.

— Nie dla tego abym nie miał pieniędzy, bo dzięki Bogu, uniosłem ze sobą około trzydziestu

tysięcy franków w złocie, co dziś stanie za pięć kroć sto tysięcy, ale jakimże sposobem węglarz, rybak lub galganiarz złotem płacić może za ser lub kiełbasę? Tak to, moja pani, Bóg świadkiem, żem kolejno takiego używał przebrania! — Dziś, aby mnie nie poznano, wyglądam jak patryota, jak zagorzały, jak Marsylczyk. Szeplenię i klnę. Do licha! wyjęty z pod prawa, nie tak łatwo przechadzać się może po ulicach Paryża, jak młoda i piękna kobieta, a los nie pozwolił mi poznać żadnej gorliwej republikanki, któraby mnie mogła ukryć przed wzrokiem ogółu.

— Panie, panie — zawołała Genowefa — miejże litość nademną! widzisz przecież, że umieram.

— Z niespokojności, rozumiem, bardzoś była o mnie niespokojna; ale pociesz się, oto jestem: wracam i już cię nie opuszczę, moja pani.

— O! ty mnie zabijesz! — zawołała Genowefa.

Dixmer z przerażającym uśmiechem spojrzał na nią.

— Miałbym zabić niewinną kobietę! o! co też pani mówisz? Chyba ze smutku i żalu za mną straciłaś rozum.

— Panie — zawołała Genowefa — panie, z załamanymi rękami błagam cię, zabij mnie raczej, a nie dręcz tak okropnymi szyderstwami. Nie, ja wiem, żem zawiniła; wiem, żem występna; wiem, że na śmierć zasługuję. Zabij mnie więc panie, zabij!

— Wyznajesz zatem, żeś na śmierć zasłużyła?

— Tak jest, tak.

— I że dla złagodzenia nie wiem jakiego występku, o który się obwiniasz, bez szemrania śmierci się poddasz?

— Uderz, panie, a nie wydam najmniejszego krzyku, a zamiast złorzeczyć ręce, która mnie zabije, owszem błogosławić ją będę.

— Nie, pani, ja cię nie zabiję; być może jednak iż umrzesz. Ale śmierć twoja, zamiast być sromotną, czego się zapewne obawiasz, będzie owszem zaszczytną i prawie męczeńską. Podziękuj mi więc pani, bo karząc cię unieśmiertelnię twoje imię.

— Cóż więc uczynisz ze mną panie?

— Znowu iść będziesz do celu, do którego dążyliśmy, kiedy nam drogę naszą przecięto. W mojem i twojem przekonaniu umrzesz jako winna; w przekonaniu drugich jako męczennica.

— O! Boże! chcesz-że aby mnie słowa twoje w szaleństwo wprawiły. Dokądże mnie prowadzisz? dokąd pociągasz?

— Zdaje się, że cię prowadzę na śmierć.

— Dozwól zatem niech się pomodłę.

— Do kogo?

— Cóż ci do tego! Od chwili jak mnie zabić pragniesz, dług mój wypłaciłam, a tem samem nic ci nie jestem winna.

— Prawda — rzekł Dixmer odchodząc do drugiego pokoju — czekam cię.

I wyszedł do salonu.

Genowefa ściskając oburącz swe pękające serce, klękała przed portretem.

— Przebac mi Maurycy — rzekła z cicha — nie miałam nadziei być szczęśliwą, alem sądziła że ciebie szczęśliwym uczynię. Maurycy, wydzieram ci szczęście co było twem życiem; przebac mi twą śmierć mój ukochany.

To mówiąc ucięła pukiel długich włosów, obwinęła nim bukiet fiołków i zatknęła u spodu portretu, a to nieczułe płótno zdawało się przybierać niby wyraz boleści widząc, że się Genowefa oddała. Takie przynajmniej, mimo swych łez, ona sama miała widzenie.

— I cóż! czyś pani gotowa? — zapytał się Dixmer.

— Już! — szepnęła Genowefa.

— O! nie spiesz się pani — odparł Dixmer — mnie nie pilno! Wreszcie, Maurycy zapewne powróci, a miłoby mi było podziękować mu za gościnność, jakiej ci dawał dowody.

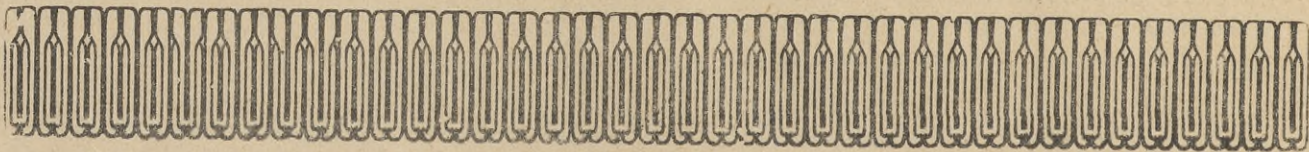
Genowefa struchlała na myśl, że jej kochanek i mąż spotkać się mogą. Wstała, niby jaką sprężyną poruszona.

— Skończyłam — rzekła — i jestem gotowa!

Dixmer wyszedł naprzód. Drżąc Genowefa postępowała za nim, prawie zamknęła oczy i głowę w tył zwiesiła; wsiedli do fiakra, który czekał przy drzwiach i odjechali.

— Dobrze — powiedziała Genowefa — że skończyło się!

Ciąg dalszy nastąpi).



Conan Doyle.

Przygody brygadiera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

Zapalona latarka stała jeszcze na stole, a przy jej blasku spostrzegłem, iż głowa Huberta zwisała zupełnie na dół, przestał oddychać, już nie żył. Ruch ku puharowi z winem był jego ostatnim.

W domu słychać było tylko uderzenia zegara, zresztą panowała zupełna cisza. Na ścianie wisiała wyprężona postać Francuza, na ziemi leżało bez ruchu ciało Hiszpana, a obydwóch oświecał blask latarni.

Po raz pierwszy w życiu drgnąłem ze strachu. Widziałem dziesięć tysięcy ludzi zeszpeconych we wszelkie możliwe sposoby, ale ich widok nie uczynił na mnie takiego wrażenia, jak te dwie blade postacie, jedyni moi towarzysze w tem ponurem mieszkaniu.

Wypadłem na ulicę, jak ów drugi Hiszpan, myśląc tylko o tem, aby się wydostać z tego domu, i dopiero przy katedrze zapanowałem nad sobą. Zatrzymałem się i ukryłem w cieniu. Podparłem się w bok i zacząłem się zastanawiać, co mi dalej czynić należy.

Wtem zegar uderzył dwa razy. Była więc godzina druga. O czwartej miała być kolumna gotowa do szturm. Pozostawały mi jeszcze dwie godziny czasu do działania.

Katedra była wewnątrz jasno oświetlona, a wchodzili do niej i wychodzili różni ludzie.

Przekonany, iż wewnątrz nikt mnie nie zaczepi, wszedłem i ja, aby w spokoju obmyśleć sobie dokładnie plan dalszego postępowania.

Katedra przedstawiała szczególny widok: zmieniona była w szpital, przytułek i magazyn prowiantowy. Jedno boczne skrzydło zawierało zapasy żywności, w drugim leżeli chorzy i ranni, w środku zaś mnóstwo ludzi rozgościło się, jak w domu, a nawet na kamiennej mozaikowej posadzce porozpalało ogień.

Wielu się modliło, klęknąłem i ja w cieniu wielkiej kolumny i modliłem się gorąco, abym się szczęśliwie wydostał z tego położenia i uczynił

moje imię tak sławnem w Hiszpanii, jakiem było już w Niemczech.

Zaczekałem do trzeciej, a potem wyszedłem z katedry i zwróciłem się w kierunku klasztoru Madonny, gdzie miał się rozpocząć atak.

Możecie sobie wyobrazić, panowie, którzy mnie dokładnie znacie, że nie byłem tym człowiekiem, któryby powrócił do obozu z małym doniesieniem, iż nasz agent został zamordowany i że należy szukać innych dróg i środków do zdobycia miasta. Albo spełnię to nieskończone zadanie w jakiś sposób, albo też stanowisko rotmistrza pierwszej klasy przy huzarach Conflansa będzie wolne.

Przeszedłem bez przeszkody przez szeroką ulicę, którą opisałem przedtem, aż dotarłem do kamiennego klasztoru, który stanowił zewnętrzną linię obronną nieprzyjaciela. Był zbudowany w wielkim czworoboku, a w środku znajdował się ogród.

W ogrodzie tym zebrało się kilkuset uzbrojonych ludzi, ponieważ naturalnie wiadomem było, iż Francuzi przypuszczają szturm najpierw do tego punktu.

Dotychczas w całej Europie mieliśmy do walczenia z armią regularną. Dopiero tu w Hiszpanii mieliśmy się dowiedzieć, jak to strasznie jest walczyć przeciw całej ludności.

Z jednej strony nie można zdobyć wielkiej sławy, gdyż co to znaczy rozbić w puch i pokonać cały tłum starych handlarzy, głupich chłopów, sfanatyzowanych popów, rozwścieczonych kobiet i tym podobnych nędznych kreatur. Z drugiej strony ciągle niepokojenie i niebezpieczeństwa są wielkie, gdyż ludzie ci nie dają człowiekowi spokoju, nie zważają na reguły wojenne i czynią najrozpaczliwsze wysiłki, aby szkodzić w najprzeróżniejszy sposób.

Miałem świadomość tego, jak wstrętnem jest zadaniem prowadzić wojnę z taką pstrą i zajadłą

hołotę, która stała w ogrodzie klasztoru dokoła ognia. My żołnierze nie troszczymy się wcale o polityczne rozważania, ale na tej wojnie w Hiszpanii zdawało się już od samego początku cię żyć jakieś przekleństwo.

W owej chwili jednak nie miałem czasu zastanawiać się nad takimi rzeczami.

Jak już zauważyłem poprzednio, nie było trudnem dostać się do ogrodu, ale dostać się do klasztoru było bardzo trudno.

Zacząłem się z początku przechadzać po ogrodzie i spostrzegłem wkrótce wielkie pomalowane okno, które z pewnością musiało należeć do kaplicy. Wiedziałem od Huberta, iż cela przeoryszy, w której znajdował się proch, była blisko kaplicy i że lont przez otwór w ścianie przeciągnięty był do celi sąsiedniej. W każdym razie musiałem się dostać do klasztoru.

U wejścia stała warta. Jakże przejdę obok niej, aby mnie nie zatrzymała? Nagle rozjaśniło mi się w głowie, jak sobie począć należy.

W ogrodzie znajdowała się studnia, a obok niej stało kilka próżnych wiader. Człowieka, który w każdej ręce trzyma wiadro wody, nie pytają, czego chce. Wartownik otworzył drzwi i przepuścił mnie.

Znalazłem się w długim korytarzu z kamienną posadzką, a tliły się w nim latarnie; po jednej stronie znajdowały się cele mniszek. Nareszcie więc byłem blisko celu.

Udałem się bez namysłu dalej, gdyż z ogrodu przypatrzyłem się doskonale, którą drogą iść mi wypada.

Mnóstwo żołnierzy hiszpańskich leżało z fakkami w zębach w tym korytarzu, a niektórzy nawet zagadywali do mnie. Przypuszczałem, iż proszą mnie o błogosławieństwo, a moje ora pro nobis zdawało się wystarczać im zupełnie.

Wkrótce doszedłem do kaplicy, a można było łatwo spostrzedz, iż izba obok służyła do przechowywania prochu, gdyż posadzka dokoła była aż czarna od niego.

Drzwi były zamknięte, a dwóch tęgich drabów trzymało przed nimi wartę. Jednemu z nich zwiślał u pasa klucz. Gdyby był sam, byłby klucz zaraz się znalazł w moich rękach, ale wobec drugiego draba nie było widoku dostania go przeemocą w moje ręce.

Najbliższa cela za prochownią musiała należeć do siostry Angeliki. Drzwi były na polu otwarte.

Wziąłem na odwagę, postawiłem wiadra z wodą na korytarzu i wszedłem do środka, nie zatrzymywany przez nikogo.

Sądziłem, iż znajdę się wobec kilkunastu odważnych ludzi, ale to, co moje oczy w tej chwili ujrzaly, wprawiło mnie w jeszcze większy kłopot. Celę tę miały widocznie mniszki opuścić, ale z jakichś powodów tego uczynić nie chciały.

Było ich tam trzy. Jakaś starsza kobieta o surowej twarzy, prawdopodobnie przeorysza; dwie inne były bardzo młode i przystojne. Wszystkie siedziały w rogu pokoju, ale powstały, gdy wszedłem. Ku mojemu zdumieniu spostrzegłem, iż moje przybycie było oczekiwanem z przyjemnością.

Natychmiast zapanowałem nad sobą i rozejrzałem się w położeniu. Ponieważ można się było spodziewać napadu na klasztor, przeto siostry sądziły, iż przeprowadzę je w jakieś bezpieczne miejsce. Prawdopodobnie złożyły ślubowanie, iż nigdy tych murów nie opuszczą, a powiedziano im, aby się schowały w tej celi, dopóki nie nadejdą jakieś inne polecenia.

W każdym razie zastosowałem moje postępowanie do tego przypuszczenia, musiałem je bezwarunkowo nakłonić do opuszczenia tej celi i miałem doskonały do tego powód.

Spojrzałem na drzwi i spostrzegłem, że klucz tkwił z wewnątrz. Dałem mniszkom znak, aby się udały za mną.

Przeorysza przemówiła coś do mnie, ale wstrząsnąłem niecierpliwie głową i skinąłem znowu na nią. Gdy się wahała, tupnąłem nogą i w ten rozkazujący sposób wezwałem je, aby się natychmiast udały za mną. Ponieważ kaplica była względnie bezpiecznem schronieniem, przeto zaprowadziłem je tam i kazałem im zająć miejsca po stronie najwięcej oddalonej od magazynu prochu.

Gdy wszystkie trzy mniszki klęły przy ołtarzu, serce zabiło mi z radości i z dumy, czułem bowiem, że z drogi mej usunąłem najważniejszą przeszkodę.

A teraz, panowie, ileż razy musiałem w mem życiu zrobić to doświadczenie, że to jest właśnie najniebezpieczniejsza chwila.

Rzuciłem jeszcze raz wzrokiem na przeoryszkę i ku mojemu wielkiemu przerażeniu spostrzegłem, iż oczy jej utkwiły z wyrazem zdziwienia i podejrzenia na mej prawej ręce. A były to oczy czarne, przeszywające, przenikliwe, które zdawały się widzieć wszystko.

Na tę ręce mogły dwie rzeczy zwrócić jej uwagę. Po pierwsze była jeszcze zakrwawiona z powodu wciśnięcia w serce sztyletu owemu wartownikowi na drzewie. To jedno nie mogło

tej wprawić w zdumienie, gdyż nóż i sztylet u księży w Saragossie był tak samo dobrze w użyciu, jak brewiarz.

Ale na palcu wskazującym miałem sygnet złoty — podarunek jakiejś niemieckiej baronówny, której nazwiska nie chcę wymienić. Błyszczał się przy świetle świec ołtarzowych. Pierścień na palcu mnicha jest niemożliwym zjawiskiem, gdyż przysięga on na bezwzględne ubóstwo.

Odwróciłem się szybko i wyszedłem z kaplicy, ale nieszczęście już było gotowe.

Gdy się obejrzałem, spostrzegłem, że przerysza dąży tuż za mną.

Przebiegłem wzdłuż kurytarza, a ona tymczasem ostrzegała głośno wartowników przy prochowni.

Na szczęście miałem na tyle przytomności, iż uczyniłem to samo i wskazywałem przed siebie, jakobyśmy oboje gonili jedną i tę samą osobę. W jednej chwili przeleciałem obok nich, wskoczyłem do celi, zatrzasknąłem ciężkie drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz.

Posiadały one na górze i na dole tęgie zasuwę, tak, iż stanowiły poważną zaporę, która niejedno wytrzymać mogła, a może już wytrzymała.

Gdyby byli na tyle sprytni, aby pod drzwi podsadzić beczkę z prochem, byłbym stracony. Było to moim jedynym ratunkiem, gdyż teraz znajdowałem się u celu.

Znalazłem się nareszcie tutaj po tylu przebytech niebezpieczeństwach, któremi tylko nie wielu mężczyzn pochwalić się może. Starałem się pochwycić ręką lont, którego drugi koniec sięgał do magazynu prochu.

Na kurytarzu ryczeli wszyscy, jak lwy i kolbami muszkietów walili we drzwi.

Nie zważałem na ich hałas i krzyki, lecz szukałem usilnie owego lontu, o którym mówił Hubert. Bezwarunkowo musiał znajdować się przy ścianie, prowadzącej do magazynu. Czołgałem się na brzuchu, rękach i nogach, ale nie mogłem znaleźć ani śladu. Dwie kule przeszły mur i splaszczyły się na ścianie.

Hałas wzrastał się ciągle.

Spostrzegłem w kącie jakąś szarą kupkę, skończyłem do niej z krzykiem radości, a przekonałem się, iż był to tylko zmieciony kurz.

Pobiegnąłem w stronę drzwi, gdzie mnie żadna kula trafić nie mogła, — a latały po celi, jak muchy — i nie troszczyłem się wcale o huk strzałów, lecz starałem się wynaleźć, gdzie ten przeklęty lont się kryje.

Aby go te mniszki nie odkryły, musiał go Hubert ukryć starannie.

Wzrok mój padł na statuetkę św. Józefa, stojącą w rogu. U stóp piedestału znajdował się wieniec z jakichś liści, wśród których paliła się lampka. Rzuciłem się na to i odsunąłem liście.

Tak jest, tu znajdował się mały, czarny sznurek, prowadzący dalej przez mały otwór w ścianie. Przyłożyłem do niego światło i położyłem się.

W chwilę potem rozległ się straszliwy huk. Mury zaczęły drżeć i chwiać się dokoła mnie, sufit nademną pękł, a z krzykiem przerażonych żołnierzy hiszpańskich zmieszał się okrzyk tryumfu naszych szturmujących grenadyerów. Słyszałem to, jak we śnie — w bardzo pięknym śnie, a potem nie słyszałem już nic więcej...

Gdy przyszedłem znowu do przytomności, trzymało mnie pod ramiona dwóch żołnierzy francuskich, a we łbie huczało mi, jak we młynie. Zerwałem się i spojrzałem dokoła siebie.

Tynk z sufitu zleciał, połamane sprzęty leżały dokoła, ale dziury nie było żadnej. Mury starego klasztoru były istotnie tak silne, iż prócz kilku nieznacznych szpar, nie wyrządził im żadnej poważnej szkody ten wybuch magazynu prochowego.

Mimo tego wybuch ten wywołał wśród obrońców taki popłoch, że atakujący mogli się dostać przez okna i otworzyć bramy prawie bez oporu.

Gdy wybiegłem do sieni, znalazłem ją przepełnioną żołnierzami francuskimi, a natknąłem się właśnie na marszałka Lannes, gdy wchodził ze swoim sztabem.

Stanął i zaczął się uważnie przysłuchiwać memu opowiadaniu.

— Wspaniale, rotmistrzu, wspaniale! — zawołał — O takim czynie należy natychmiast zawiadomić cesarza.

— Chciałbym dodać, ekscelencjo — zauważyłem — iż doprowadziłem tylko rozpoczęte dzieło do końca. Obmyślił je i przygotował Hubert, a przypłacił to życiem.

— Nie zapomnimy o jego usługach — odparł marszałek. — Zresztą minęło już wpół do piątej, a pan, panie rotmistrzu, musisz być po tylu przygodach bardzo głodny. Ja i mój sztab jemy śniadanie w mieście. Zapewniam pana, iż będzie pan dla nas bardzo mile widzianym gościem.

— Z wdzięcznością przyjmuję zaproszenie, ekscelencjo — odpowiedziałem. — Ale mam jeszcze przedtem do załatwienia małe spotkanie, które mnie od tego powstrzymuje.

Wylupił na mnie oczy.

— O tej godzinie?

— Tak jest, panie generale — odparłem. — Moi towarzysze broni, których wczoraj miałem przyjemność poznać, wzięliby mi za złe, gdybym się wpierv z nimi nie widział.

— W takim razie do widzenia — rzekł marszałek i poszedł dalej.

Wybiegłem przez bardzo uszkodzoną bramę klasztorną.

Gdy przybyłem do mej izby bez dachu, w której przebrano mnie za mnicha, zrzuciłem habit, wsadziłem na głowę czako i opasałem się szablą, którą tam pozostawiłem.

Zostawszy szczęśliwie z powrotem huzarem, udałem się w oznaczone miejsce. Z wzburzenia kręciło mi się jeszcze wszystko w głowie, byłem niesłychanie zmęczony po tylu przygodach ubiegłej nocy.

Cała ta wędrówka o szarym świecie, palące się ognie w obozie, ich gryzący dym i szmer budzącego się ze snu żołnierza wydawały mi się niby snem.

Wśród huku trąb i warczenia bębnow zbiera się piechota, gdyż wybuch i okrzyki wojenne dały im znać, co się stało.

Maszerowałem spokojnie dalej, aż wreszcie dotarłem do małego lasu drzew korkowych, znajdującego się poza stajniami kawalerii.

Tam dostrzegłem moich towarzyszy broni w jednej grupie, a każdy miał przy lewym boku pałasz. Spojrzeli na mnie zdziwieni, gdy się do nich zbliżyłem. Być może iż z tą poczernioną prochem twarzą i zakrwawionemi rękami wydałem się im innym Gerardem, nie tym młodzieńczym rotmistrem z którego poprzedniego wieczora tak się naśmiewali.

— Dzień dobry panom! — zawołałem. — Niesłychanie mi przykro, iż musieliście panowie czekać na mnie, ale nie mogłem rozporządzać moim czasem.

Nie odpowiedzieli nic, ale spojrzeli na mnie badawczo. Widzę ich jeszcze dzisiaj przed sobą,

stojących w szeregu, wielcy i mali, grubi i chudzi. Olivier z swym potężnym wąsem, wąskie, żywe oblicze Pelletana, młodego Oudina, ożywionego radością, iż pierwszy raz w życiu będzie miał pojedynkę, Mortiera z przeciętem pałaszem czołem. Odłożyłem na bok czako i wyciągnąłem pałasz.

— Panowie — rzekłem — wybaczcie, ale marszałek Lannes zaprosił mnie na śniadanie, a nie mogę pozwolić na to, aby czekał na mnie.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał major.

— Proszę mnie uwolnić z mego przyrzeczenia, iż każdemu z panów poświęcę pięć minut czasu i pozwolić na to, abym was wszystkich razem zaatakował.

Czekałem, co na to odpowiedzą.

Ich odpowiedź była prawdziwie piękna i prawdziwie francuska. W jednej chwili dwanaście pałaszów wyleciało z pochew i prezentowało przedemną.

Stali przedemną wszyscy, nieruchomi, obcas przy obcasie, a każdy trzymał przed sobą pałasz, jak świecę.

Cofnąłem się na krok. Spojrzałem po wszystkich, a każdemu śmiało w oczy. Tym oczom przez chwilę nawet wierzyć nie mogłem. Ci sami ludzie, którzy przed kilku godzinami drwili sobie ze mnie, ci sami ludzie składali mi teraz hołd!

Wyjaśniło się dla mnie wszystko.

Poznałem, że im zaimponowałem, a oni chcieli zatrzeć plamę, którą sobie sami ubiegłego wieczora zrobili. Wobec niebezpieczeństwa człowiek może zachować stalowe nerwy, ale nigdy wobec wzruszenia.

— Towarzysze! — zawołałem — towarzysze! Dalej nie mogłem już mówić ani słowa.

Olivier chwycił mnie w pól, Pelletan chwycił mnie za prawą rękę, Mortier za lewą, inni czepili się moich pleców... ze wszystkich stron uśmiechały się do mnie radością tchnące twarze...

Taki był mój pierwszy występ w huzarach Conflansa...



DZIAŁ KOBIECY.

Jak zużytkować

niepotrzebną odzież, czasopisma i wogóle rupiecie.

Niema domu, w którymby się nie nagromadziło w ciągu roku mnóstwo rupieci, na nic nam już nieprzydatnych, a niepotrzebnie zabierających miejsce, którego nigdy nie za wiele w szczupłych mieszkaniach miejskich.

Nie wiedząc, co z nimi czynić, bo ani ich darowywać, ani sprzedawać nie warto, najczęściej każemy je wyrzucić na śmietnik. Stamtąd zaś, w odpowiednie przeszedłszy ręce, ulegają różnym przemianom: czasami nawet wyreparowane, odczyszczone idą na sprzedaż i za bardzo niską cenę nabyte przez ubogą ludność, nie służą jej tyle nawet czasu, aby się zwrócił wydatek, poniesiony na ich nabycie. Wychodzi na to, że ci, którym o grosz najtrudniej, najwięcej są na utratę jego narażeni.

Aby temu zapobiedz, powstały w miastach amerykańskich towarzystwa, zapobiegające handlowi wszelką starzyzną (Society for the banishing of dilapidated households).

Skupuje są i pozbywa się jej w sposób odpowiedni, przez co nie dopuszcza handlowania tandetą, szerzenia zarazków, a z nimi razem i elegancyi złego smaku.

Cóż więc zrobić z niepotrzebną, na przykład, odzieżą? Od sprzedawania jej powstrzymuje nas nie tyle myśl o zarazkach, złym smaku itd., ile wstyd fałszywy; nie każdą rzecz darować można służącej, nie każda da się na nasz użytek przerobić. Darowywanie zaś kobietom ubogim rzeczy niegdyś pięknej, dziś podszarżanej, lub gałganka, któremu całą wartość nadawał kaprys mody, — ma w sobie coś dla obdarowywanych upokarzającego — coś, co przeczy istocie miłosierdzia.

W Anglii, a właściwie w Danii, skąd zwyczaj ten przeniosła do przybranej ojczyzny królowa Aleksandra, możemy znaleźć odpowiedź na to pytanie.

W duńskim domu królewskim panował obyczaj patryarchalny: tryb życia skromny był i pracowity, a liczna gromada dzieci chowana w karności i prostocie.

Gdy nadchodziła jesień, dostojna matka rodziny zabierała się do przeglądania garderoby,

tak swojej, jak i dzieci. Zapewne z starszych nie przerabiana na młodsze, bo czasopismo angielskie, z którego wiadomość tę zaczerpnęłam, opowiada, iż rzeczy wybrakowane oddawano służebnym do prucia.

Sprute, wyczyszczone, uprane wracały do rąk właścicielek i królewskie dziewczątka, zbrojne w nożyczki, z ołówkiem i miarą w ręku, brały się do roboty pod kierunkiem fachowej mistrzyni. Sukienki przerobione gustownie, choć z prostotą, czystutkie i świeże, szły w postaci podarków świątecznych do szkółek i ochron, znajdujących się pod protektorem pań z rodziny królewskiej. Były zaś nie tylko podarkiem użytecznym, lecz razem miłą pamiątką, bo każda z panienek wsuwała do kieszeni ubrania karteczkę ze swoim imieniem, pod którym dodawała wyrazy: „poleca się przyjaznej pamięci...” — „prosi o życzliwość...” — „pozdrawia nieznajomą rówieśniczkę...” — „życzy pomyślności całej rodzinie...”

Dzisiejsza królowa-wdowa angielska celowała pomysłami tego rodzaju niespodzianek. Zasobniejsza w grosz, czy może mniej czyniąca wydatków, kupowała srebrną lub złotą kanwę papierową i barwnymi jedwabiami haftowała na niej swoje imię wraz z „pośłaniem”. Przypuszczam, że w niejednej chacie duńskiej przechowują je do dziś dzień jako miłą pamiątkę i sędzę, że za przykładem królowien duńskich pójśćby mogły nasze dziewczątka...

O czasopismach niepotrzebnych mówić już chyba zbyt wiele, że komplety ich pożądane są w szpitalach. Zdekompletowane, jeżeli się w nich znajdują ilustracje, dostarczają na zimowe wieczory miłego zajęcia dzieciom, które sobie z nich ułożą „scrap-book” (książkę wycinków), najpopularniejszą zabawkę w Anglii, gdzie każde niemal dziecko posiada taką książkę. Naklejając wycinki w zeszyty można je dobierać odpowiednio: podobizny znakomitości, widoki, reprodukcje dzieł sztuki, rośliny, zwierzęta i t. p.

Przepalone garnki żelazne, brytfanny, rondle, czy te emaliowane, czy z blachy angielskiej, zawsze znajdują nabywców — nie w handlarzach podwórzowych, lecz w agentach fabryki wyrobów metalowych. Szmaty tkanin, zniszczone kapelusze słomiane nabywa — zawsze za pośrednictwem agenta — fabryka papieru; znoszone obuwie (jeżeli już nawet szewc-latacz nie dopomoże nam do

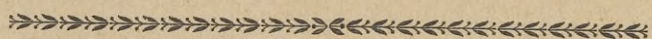
obucia w nie jakiejs biedy) nabywają fabryki kleju.

Agenci, których wyszukanie nie jest rzeczą tak trudną, niechętnie kupują towar małemi ilościami. Lecz i na to jest rada: kilka, kilkanaście domów znajomych stanowić może dla agenta taką jednostkę dostawczą, z którą raz związane stosunki trwać już mogą stale.

Przedmioty z drzewa, niezdatne już do właściwego użytku, przydadzą się jednak w innej postaci: zamiast wydawać codziennie parę groszy „na podpałkę“, najać można człowieka, który je siekierą na drzazgi połupie.

I tak jest ze wszystkim: niema w domu odpadków, którychby zużytkować nie można. Pieńżnie zyskamy przez to niewiele — nic może. Zyskamy jednak to wielkie zadowolenie moralne, że ognisko domowe, nad którego jasnością czuwamy, świeci przykładem rozumnej, pracowitej oszczędności: nie tej liczykrupskiej, która kasków skąpi domownikom, ale tej, która ich przemysłnie przysparza i zabiegania o nie uczy.

T. Prażmowska.



Dom i kuchnia.

Kluski z kartofli ze śliwkami.

Pół funta kartofli ugotowanych przetrzeć przez sitko lub przez maszynkę przepuścić, dodać pół funta mąki przesianej, 2 żółtka surowe, pół łyżki masła i szczyptę soli; zagnieść i rozwałkować. Wykrawać foremki lub szklanką okrągłe placuszki, na które nakładać po jednej śliwce, poczem zawijać ciasto podobnie jak na pierożki, maczając ręce w mące, żeby kluski nie przylegały. Gotowe kluski wrzucać na wrzącą wodę, nieco osoloną i pod nakryciem gotować aż spłyną pod wierzch. Wyjmować łyżką durszlakową na gorący półmisek i polać masłem rumianem z bułeczką. Śliwki, węgierki, należy pierwaj sparzyć, obciągnąć ze skórki, pestki odrzucić i obgotować na lekkim syropie, uważając, aby się nie rozgotowały.

Rydze marynowane.

Rydze dobrze wymyte, przesypać w rondlu solą, nakryć i na bardzo wolnej blasze, dusić aż sok puszcza, około pół godziny; poczem zlać na sito, a gdy osiagną, ułożyć w słoje i zalać zimnym octem przegotowanym z cebulą i korzeniami. Ocet powinien rydze nakrywać.

Rydze marynowane. Do marynowania brać rydze drobne, zdrowe, a nie robaczywe; obrać je z korzonków, opłókać w zimnej wodzie i dobrze osączyć. Zagotować octu z cebulą, w plasterki pokrajaną, lub drobną cebulką (szalotką), pieprzem, angielskim zielem i liśćmi bobkowymi. Na gotujący się ocet wrzucić rydze, nakryć i na wolnym ogniu gotować 15—20 minut. Odstawić aż zastygną, poczem wlać w słoiki i obwiązać pęcherzem.

Pieczarki marynowane w własnym smaku.

Zupełnie świeże, drobne, jeszcze zamknięte pieczarki wymyć starannie w zimnej wodzie, nie obierać ich i korzonki pozostawić, tylko je trochę poobcinać. Obierając, wrzucać należy pieczarki do zimnej wody, żeby nie zczerniały; poczem je włożyć do rondelka, nalać wodą zimną tyle tylko, żeby je pokryła, dodać, na 3—4 funtów pieczarek, 1 łut soli cytrynowej, przez co zatrzymują biały kolor, nakryć i gotować 10 minut na bardzo wolnym ogniu. Gdy zastygną, ułożyć pieczarki w małe słoiki, zalać tym smakiem, w którym się gotowały, nakryć pęcherzem i, wstawiwszy je w rondel z zimną wodą, gotować pół godziny. Gdy ostygną, powyjmować słoiki i zaraz pęcherze obciągnąć lakiem. Trzymać w chłodnym, a suchym miejscu. Takie pieczarki są wyborne do sosów lub na garnitur do potraw wykwinnych, zastępują bowiem zupełnie świeże. Używając je, należy uprzednio pokrajać w plasterki, włożyć do gotowego sosu bulionowego i dodać trochę smaku od nich. W puszkach gotowane pieczarki trzymają się lata całe. Konserwy w puszkach gotować należy w parze całą godzinę.

Dyspozycja obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z kluseczkami francuskimi, polędwica z jarzynami.

Poniedziałek. Zupa z pieczarek, kaczkę pieczone z kapustą.

Wtorek. Kapuśniak, pieczeń wołowa z kartofelkami, legumina czekoladowa.

Środa. Zupa cytrynowa, pieczeń cielęca z burakami, kompot z jabłek.

Czwartek. Zupa pomidorowa, zrazy zawijane z kartofelkami, wafle z kremem.

Piątek. Zupa z jarzyn, szczupak smażony z sałatą, naleśniki z kompotem.

Sobota. Zupa kartoflana, kotlety wieprzowe ze śliwkami.



:: HUMORYSTYKA ::

Nie kijem, to pałką

— O pani, kocham cię nad życie... więc zostań moją żoną!..

— Ręki panu oddać nie mogę, ale siostrą będę panu chętnie..

— Jeżeli tak, to postaraj się pani przynajmniej u swego ojca, ażeby adoptował mnie za syna!..



Na wsi.

— Cóż to, mąż wasz umarł?

— A tak, proszę jegomości.

— A czemu nie wezwaliście doktora, czy nie ma w okolicy?

— Dyć nie, proszę jegomości, my sami umieramy, przez doktora.



Pomiędzy zakochanymi.

Ona: Ojciec mi powiedział, że męża to trzeba szturmować — jak na wojnie.

On: No, ale ojciec powinien i to wiedzieć że każda wojna potrzebuje pieniędzy.



Nasi kamienicznicy.

— Co u licha, znowu mi pan podwyższa komorne o 50 marek.

— Tak panie — ponieważ przez naszą ulicę będzie przejeżdżał tramwaj elektryczny — co zmienia postać rzeczy.



Współcześni żebracy.

— Litości godna osobo, chociaż grosik — to marności.

— Cóż ty łajdaku — wódkę czuć od ciebie, prosisz i nawet czapki nie zdejmiesz.

— Eh! bo widzi pan, tam stoi na rogu stółkowy, jakby zobaczył, że ja czapkę zdjąłem, toby mnie za żebranie do kozy wsadził, a tak to pomyśli, że idzie dwóch przyjaciół.



Pan domu.

Wchodząc do chaty pewnego wieśniaka pytają:

— Czy to wy jesteście panem domu?

— A no niby tak, bo moja baba dwa miesiące temu umarła...



Wielka szkoda.

— Pamiętasz młodego Wiercińskiego?

— Pamiętam.

— Dziś rano nagle umarł.

— Ah! co za szkoda! on tak ślicznie tańczył polkę w lewo...



W sądzie

— Dlaczego bijecie swoją żonę?

— Proszę pana, to nie ze złości, ale ot tak, każdy człowiek musi mieć swoją słabą godzinę...



Wystraszony lokaj.

— Jest pan?

— Jaśnie pan nie przyjmuje.

— Czy zajęty?

— Nie, ale wczoraj był łaskaw zaziębić się, a teraz raczy mieć katar



W szkole.

— Jeżeli twój ojciec ma dziennie 3 marki pensyi, a nie przyjdzie na pół dnia do roboty, to co dostanie?

— Wymyślanie od majstra, bo to okropnie zły człowiek, proszę pana profesora.



Naturalnie.

— Pani! jesteś piękną jak róża, pozwól też ofiarować sobie bukiet z róż

— Ej, mój panie, wolałabym żebyś pan powiedział, iż jestem drogą jak złoto, i ofiarował coś ze złota.



NOWO OTWORZONA

KAWIARNIA „Casino”

w Krakowie, Rynek gł. I. 12

I-sze piętro.

.. .. Sale bilardowe.
Szachy.

Pokoje do gier towarzyskich.
Czytelnia.

Polecając się łaskawym względem P. T.
Publiczności, pozostaje
z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

Skład i pracownia wyrobów zakopiańskich

Ign. MARCINKIEWICZA

w Krakowie, przy ul. Floryańskiej 6.

Poleca:

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie, damskie i męskie, zwykłe i od deszczu od 13 koron.
Guńki zakopiańskie damskie i dzieciinne sabałówki, żuawki i stroje krakowskie. Serdaki futrzane męskie damskie i dzieciinne, według oryginalnych wzorów zakopiańskich.

Filie: w Zakopanem i Rabce.

Z poważaniem

Ignacy Marcinkiewicz, kuśnierz,
Floryańska 6.

Kursa wyższe dla kobiet
im. Dr. A. Baranieckiego
w Krakowie

istniejące od roku 1868.

z trzema wydziałami: literackim, przyrodniczym, artystycznym (rysunki, malarstwo, rzeźba).

Jedyny zakład, w którym wykładają profesorem uniwersytetu.

Przesyła programy i załatwia korespondencje kursów sekretarka **H. Tomaszewska w Krakowie**, ulica Karmelicka L. 36. — Początek roku 1. Października.

Dyrektor **Józef Rostofiński.**

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

Tygodniku **Narodowym.**

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitą skutkiem do mycia i utrzymania w czystości skóry na głowie. Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.
OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy, posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k.
PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia włosów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.

KRAKÓW — Sukiennice 20.

PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

Na

Kościół

Plebanię

Szkoły

Domy prywatne

używa się tylko paloną

Dachówkę

Ciesielskiego

16c

W Krakowie, ul. Garncarska 14.
— Telefon 1079. —

„Krajowy Kolejarz“

centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:

Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarzkiego

Przedpłata wynosi rocz. 2 Kor. półrocz. 1 Kor. — — — kwartalnie 50 hal.

Przedpłatę przesyłać należy do
Administracji „Krajowego Kolejarza“
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

„KUPIEC POLSKI“

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

„Kupiec Polski“ ■ **Ogłoszenia**

omawia sprawy kupiectwa ■ w „Kupcu Polskim“ naj-
wszystkich dzielnic polskich. ■ piej się opłacają.

„Kupiec Polski“ ■ **„Kupiec Polski“**
obfitością treści przewyższa ■ ma czytelników we wszyst-
nawet fachowe pisma nie- ■ kich sferach i dzielnicach
mieckie. ■ Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austrii 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
" w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
" w Rosyi 1 kub. kwartalnie, 4 Kub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznym w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszernie informacje o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjentację w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,
miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle,
a szkolnictwu ludowemu w szczególności,
wychodzi we Lwowie pod redakcją Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły“ wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:

Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom
współdzielczym, przemysłowym
— i ogólno-ekonomicznym —

Wydawcą tego

pisma jest „Związek Stowarzyszeń zarobko-
wych i gospodarczych“ we Lwowie plac
Smolki 1. 4. działający w porozumieniu
z Komisją krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym
Związkiem przemysłowym i innemi wybitniejszemi organizacyami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austrii
rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.
Redakcyja i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

Gwiazdka Cieszyńska

pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przede wszystkim sprawami narodowymi i ekonomicznymi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.

Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi
całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h,
kwartalnie 1 k 75 h.

Za ogłoszenia płaci się 20 h od wiersza drobnego; przy
:: kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat ::

Adres: Redakcyja i Administracyja „Gwiazdki
Cieszyńskiej“ — Cieszyn, ul. Schodowa 3.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od
opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czy-
telnikom uwagę na to, iż reklamacye
koniecznie muszą być nadesłane w
otwartej kopercie. Reklamacyi w zam-
kniętych kopertach niefrankowanych nie
przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam
za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacje handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika 11.

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcją Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“

celują szybkością
informacji i obfi-
tością zajmującej
lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupach prosi-
my się odwoływać na
ogłoszenia w piśmie
naszem.

**Fabryka
pieczęci
kauczukowych
St. Niemczyk**

37 KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15

27

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój
obficie i jedynie w towary, doborowe
zaopatrzone Skład i pracownię jakoto:
Futra dam., Rotundy, Żakietki, Saka,
Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie,
Spacerowe i podróżne, Marynarki, Sur-
duty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane
oraz wszelkie przybory w zakres ten
wchodzące, oraz wielki wybór, Ser-
daków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również
wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym
celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów**
z fabryk krajowych, jak również angielskich.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.

PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY.

Rok założenia 1904.

Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezc w Krakowie.

Inżynier LEONARD NITSCH i Spółka, Kraków, ul. Kolejowa 18

projektują i wykonują:

Wodociągi dla miast, gmin, folwarków, fabryk, ogrodów, gmachów publicznych, domów prywatnych i t. d.

Poszukiwanie i uchwycenie źródeł. — Wiercenie studzien. — Ustawianie pomp. — Instalacje domowe z klozetami, łazienkami i t. d.

Centralne ogrzewanie wszelkich systemów i wentylacje. — Łaźnie. Mechaniczne pralnie. Suszarnie i t. d.

Najlepsze referencje z dotychczas wykonanych robót. — Kosztorysy bezpłatnie.

Sandały Kneipowskie

poleca najtaniej

**Bazar krajowy
w Krakowie**

Rynek główny l. 20.

Kilimy krajowe

poleca

„magazyn bielizny”

„konfekcji męskiej”

Braci Bilewskich

w Krakowie.

Magazyn i Pracownia sukien męskich

MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzonego magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownię, przyjmuje do reperacji maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórzu)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.

Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.

Przyrządy do równania różnic części ciała.

■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensory i t. p.

■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teufela.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,

Przybory do ryb-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

i PUDRY kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zybkiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięśnienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gośce, arytmii i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9-1 i od 4-6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

36

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien
liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się
lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Wła-
sności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio
mocnych — wskutek swego nader delikatnego
włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc
uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko
w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiet „Waty Salvesol“ wy-
starcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarni-
czek 1 kor. 20 hal. Pakiet waty „Salvesol“
30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Beldowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez p. Stapińskiego
jest najpoczytniejszym pismem ludowym
(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.
kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech . 4 korony
do Królestwa Polskiego i Rosji 2 ruble
do cesarstwa niemieckiego . 4 marki
do Ameryki, Rumunii, Danii
i innych państw europejskich 5 koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlate-
go ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu“
przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu“ Kraków, ul. Krótka 6.